NUMER WIELKANOCNY
— 8 STRON

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Cena 2/-

ROK IX. — Nr. 14 i 15 (406 i 407)

LONDYN, 3-10 KWIETNIA 1955 R.

* * *

Przez Twe święte Zmartwychwstanie,
Boży Synu, odpuść nam nasze zgrzeszenie,
Ty żeś ten dzień sam wsławił,
Żywot-ś nam naprawił,
Śmierci-ś wiecznej nas zbawił,
Swą-ś moc zjawił.

*

Nas dla wstał z martwych Syn Boży!
Wierzy-ż w to, człowiecze zbożny,
Iż przez trud Bóg swój lud
Odjął diablej strożej.

Przydał nam zdrowia wiecznego,
Starostę skował piekielnego,
Śmierć podjął, wspomnionął
Człowieka pierwego.

Jenże trudy cierpiał bezmiernie,
Jeszcze by nie przespiał zawiernie,
Aliż sam Bóg zmartwychwstał.

Leżał trzy dni w grobie
Dał bok przebić sobie,
Bok, ręce, nodze obie
Na zbawienie, człowiecze, tobie.

(Z wielkanocnej części pieśni „Bogurodzica")

* * * * * * * * * * * * * * * * *

DOSTOJNEMU OPIEKUNOWI DUCHOWEMU
WYCHODŹSTWA
PRZEWIELEBNYM WIKARIUSZOM
GENERALNYM,
WIELEBNEMU DUCHOWIEŃSTWU,
RODAKOM W KRAJU —
ZWŁASZCZA TYM, KTÓRZY CIERPIĄ
ZA WOLNOŚĆ KOŚCIOŁA I POLSKI,
WSZYSTKIM POLAKOM NA OBCZYŹNIE
— TRYUMFU CHRYSTUSOWEJ PRAWDY
I MIŁOŚCI
ŻYCZY W DNIU
ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO

REDAKCJA „ŻYCIA"

* * * * * * * * * * * * * * * * * *



Fra Angelico — Chrystus ukazuje się Marii Magdalenie.

* * *

Niniejszy numer „ŻYCIA" wychodzi na dwutygodniowy okres osobliwej części roku kościelnego: na Niedzielę Palmową, poprzedzającą drogę na Golgotę, i na Wielkanoc.

Myśli i przeżycia Wielkiego Tygodnia wyrażają stacje „Drogi Krzyżowej", głębokiego utworu poetyckiego Zofii Bohdanowiczowej.

Omówienie znaczenia i treści Zmartwychwstania zawiera artykuł jednego z największych uczonych katolickich Polski ostatnich czasów, Ks. Konstantego Michalskiego. Zmarły w r. 1947 profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie należał do czołowych postaci polskiego życia naukowego. Wraz z innymi kolegami organizował w niemieckiej kaźni tajne wykłady i dyskusje. Po wyjściu z obozu kontynuował dalej swe dzieło, po wojnie ogłasza prace naukowe, ale nie stronił również od działalności publicystycznej, która umiała oddziaływać na szerszy krąg inteligencji katolickiej. Jedną z tych prac jest artykuł zatytułowany „Dzwiami zamkniętymi", który przedrukowujemy z numeru wielkanocnego „Tygodnika Powszechnego", roku 1946.

Również z tego pisma (r. 1946)) wyjmujemy drugi artykuł religijny niniejszego numeru, wspaniały wykład Ks. Jana Salamuchy p.t. „Struktura katolickiego poglądu na świat". Wykład powyższy jest częścią zbioru zatytułowanego „Styl chrześcijański w filozofii". Dzieło to ks. prof. Salamucha zdołał przygotować w całości, niestety, ukazało się ono jedynie we fragmentach na łamach pism, nie wyszło natomiast — o ile nam wiadomo — w wydaniu książkowym. Ks. Salamucha zginął od kuli niemieckiej w r. 1944, jako młody jeszcze człowiek (ur. 1903). Był profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, jednym z najwybitniejszych logistów polskich.

Oba artykuły wyszły spod piór wybitnych uczonych polskich, których prace należą do najświetniejszych osiągnięć polskiej myśli teologicznej ostatniego okresu. Zanim — być może — wyjdzie obszerniejszy zbiór tych prac, niechaj zapoczątkuje wgłębianie się w myśl obu pisarzy niniejszy druk.

W 500-lecie zgonu Fra Angelico, dzieło natchnionego artysty omawia Z. Turkiewicz w artykule ilustrowanym reprodukcjami jego słynnych fresków i obrazów.

Numer świąteczny uzupełnia materiał literacki, informacyjny i felietonowy.

* * * * * * * * * * * * * * * * *

KS. KONSTANTY MICHALSKI, C.M.

DRZWIAMI ZAMKNIĘTYMI

Drzwiami zamkniętymi wszedł Jezus do sali, gdzie się zebrało jedenastu (św. Jan XX, 26). Był wśród nich tylko jeden, który nie widział Zmartwychwstałego i zapewniał z siłą przekonania, że nie uwierzy w to, co się opowiada, dopóki własnymi oczami rzeczywistości nie zobaczy, dopóki jej nie dotknie i dłońmi jej nie uchwyci. Jeżeli się ma odróżnić rzeczywistość od majaka, trzeba w dotyku i w mięśniach wyczuć jej opór, bo samo oko nieraz zawodzi. Zamknął Tomasz szczelnie drzwi swej duszy dla wiary łatwej, lecz Zmartwychwstały przejdzie przez nie tak, jak przeszedł przez drzwi Wieczernika. Oglądaj, dotykaj, wkładaj dziesięć palców w otwarte rany, odezwał się nagle znany apostołowi głos ale Tomasz dłoni swej w bok Chrystusa włożyć nie chciał, bo wyczuł, że Chrystus wszedł mu nie tylko w oczy, lecz w głębię duszy. Z tym wszystkim dobrze się stało, że wśród apostołów znalazł się skrajny empirysta, który przed Dilthey'em i M. Schelerem pewność rzeczywistości mierzył siłą oporu stawianego dotykowi i mięśniom w kontakcie z przedmiotem. Św. Jan apostoł miał płomienne serce, które go niosło na wyżyny metafizyczne kiedy rozpoczynając swą Ewangelię głosił, że „na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo", a jednak i on rozumiał, co to znaczy świadectwo dziesięciu palców i obydwu dłoni, poparte przez głos rozlanej krwi, bo kiedy rozpoczynał swój pierwszy list do wiernych, obrał metodę empirysty Tomasza. Wiedział metafizyk spośród ewangelistów, że w historiografii dobrze stwierdzony fakt ma silniejszą wymowę od wszelkich dedukcyj; przypomniał sobie, jakie wrażenie zrobił na nim kiedyś empiryzm Tomasza i dlatego napisał niezapomniane nigdy słowa: „Co było od początku, cośmy słyszeli, cośmy widzieli oczyma naszymi, cośmy oglądali i czego ręce nasze dotykały — o Słowie... opowiadamy" (I św. Jan, I, 1). Uderza **crescendo** w świadectwie zmysłów, bo słuch uzupełnia się przez pewniejszy od niego wzrok, doraźne zaś spojrzenie przez wszechstronne, metodyczne oglądanie, a to wszystko razem wzięte znajduje ostateczną podporę w dotyku dłoni, dopóki się nie oderwie w końcu na głos krwi, wobec którego nawet sceptyk już tylko dłonie rozłożyć potrafi.

Niechaj teolog ze współczesnym fizykiem przeprowadzą dyskusję jeszcze nad tym, jak uwielbione ciało może się przebić przez zamknięte drzwi wobec dzisiejszej teorii budowy materii, bo nas interesuje tu tylko fakt, że dla Chrystusa, dla Boga nie ma drzwi zamkniętych zwłaszcza, jeżeli idzie o duszę. Przeszedł Chrystus przez opieczętowany kamień grobowy, jak przeszedł przez zamknięte drzwi, gdyż kamienie odwalają ludzie dla ludzi, czy też siły wyższe dla niższych. Uwagę psychologa religii więzi nade wszystko to, że dla Boga nie ma zamkniętych drzwi do duszy ludzkiej. Człowiek może się od Boga odżegnywać, może się na wszystkie zasuwy zabezpieczyć przed inwazją łaski, ale dla Boga żadne rygle nie istnieją.

Kto zna choćby z samej powierzchni myśl perypatetyczną, wie bardzo dobrze, że według niej Bóg jest w nas i poza, ponad nami, że w stosunku do otaczającej nas rzeczywistości i do nas samych istnieje immanentnie i transcendentnie. Jest w nas immanentnie, bo przez przedłużony dla ludzkiej, czasowej rachuby, stwórczy akt utrzymuje rzeczywistość wszelkiego bytu, a jeśli tak, to jest bliżej nas, aniżeli my sami sobie blisko jesteśmy. Istnieje także transcendentnie w stosunku do nas, bo się ani z nami z całą olbrzymią resztą rzeczywistości stworzonej nie utożsamia, lecz istnieje w nieskończoności swej doskonałości. Istnieje w nas przez stwórczy swój akt, więc nie podobna Jemu zamknąć drzwi do naszej duszy.

Człowiek pozostanie jednak na zawsze niepoprawnym antropomorfistą, pojmując Boga na własne swe podobieństwo by go jakoś ograniczyć i ze sobą w czymkolwiek bądź zrównać. Mają poszczególne jednostki i wielkie grupy społeczne swe złe chwile czy godziny, kiedy im się zdaje, że potrafią Bogu zamknąć dostęp do świata i do własnego swego wnętrza.

Zamknął swą duszę dla Chrystusa na wszystkie rygle Szaweł, a jednak niebawem z kolan przed bramą Damaszku zawołał: „Panie, co chcesz, żebym czynił" (Dz. Ap. IX, 6). Widocznie wszedł mu Zmartwychwstały głęboko w serce, skoro przede wszystkim on będzie gromadził dowody na ten niezwykły fakt w dziejach ludzkich; widocznie zrozumiał doniosłość tego faktu dla chrześcijaństwa, jak żaden inny apostoł, bo tylko on odważył się powiedzieć: „Jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, próżną jest nasza wiara" (I Kor. XV, 14). Nie jest jednak próżną i próżną być nie może, bo widziano, słyszano, dotykano. Korynt był bogatym miastem portowym gdzie zjawiały się okręty, występki i cnoty całego świata. W to różnojęzyczne środowisko ludzi o kulturze helleńskiej rzuca słowa: „Oznajmuję wam... Ewangelię..., iż Chrystus umarł..., że powstał z martwych trzeciego dnia..., że widziany był przez Kefę, a potem przez jedenastu. Potem widziany był przez więcej niż pięciuset braci razem, z których wielu żyje aż dotąd" (I Kor. XV, 1—6). W czasie pierwszej swej podróży misyjnej przemawiał do innego żydowskiego środowiska w bóżnicy Antiochii Pizydyjskiej, ale rodzaj jego przemówienia pozostaje taki sam: „Bóg wskrzesił Go z martwych dnia trzeciego i był On widziany przez wiele dni od tych, którzy razem z nim przyszli byli z Galilei do Jeruzalem, którzy aż dotąd są świadkami Jego do ludu" (Dz. Ap. XIII, 30-31). Tu i tam pojawia się metoda empirysty Tomasza, bo akcent spoczywa na słowach, „aż dotąd" żyją ci, którzy słyszeli, widzieli, rękami dotykali. Świadkiem Zmartwychwstania aż do męczeństwa za murami Romy stał się ten, co Zmartwychwstałemu zamykał zrazu drzwi do swej duszy.

Jednym z twórców pragmatyzmu, był W. James: wierzył tylko tej myśli, której towarzyszy taki lub inny sukces, a zwłaszcza ten, że się sama w czyn przeobraża. W swej książce o „Rozmaitości doświadczeń religijnych" zestawił obok siebie przeżycia religijne i niereligijne, by pierwsze do drugich przybliżyć i przez nie je wytłumaczyć, o ile tylko materiał nie stawi bezwzględnego oporu. Zajrzyjmy do tej książki i odczytajmy tam referat o tym, co się stało z Alfonsem Ratisbonne, wolnomyślnym Żydem w 29 rocznicę jego życia. Przyznaje James, że nie zna cudowniejszego faktu nad to nawrócenie. Wszystko dokonało się w przeciągu niespełna kwadransa. Drzwi dla Boga były w duszy dokładnie zamknięte, gdy Ratisbonne wchodził ze swym przyjacielem do rzymskiego kościoła Sant' Andrea delle Fratte. Podczas gdy przyjaciel się modlił, on sam rozglądał się po biednym, pustym kościele, a tylko zbłąkany tu z ulicy pies zwrócił jego uwagę. Nagle wszystko zniknęło mu ze świadomości i zmieniła się scena. Przyjaciel znalazł go na kolanach w modlitewnym porywie. Można sobie odczytać list R., gdzie oświadcza, że byłby nazwał szaleńcem tego, który by mu był powiedział u progu kościoła, że w kilka minut taka dokona się w nim przemiana. Przecież dobrze zaryglował drzwi do swej duszy.

Wiadomo, co się u nas stało z Jodko - Narkiewiczem po pierwszej wojnie światowej; wiadomo także o tym, jak Janusz Korczak prosił z Ghetta Warszawskiego o zgodę na zatrzymanie mszału rzymskiego, by mógł dla swych wychowanków ułożyć błagalną inwokację na wzór litanii, bo doszedł do przekonania, że dzieci winny się modlić, a sam czuł się jak motyl na wylocie z poczwarki, czuł się blisko innego, lepszego świata.

—*—

Drzwiami zamkniętymi lub otwartymi wchodzi Chrystus do dusz poszczególnych jednostek i wielkich grup społecznych. Posiwieli już ci, którzy przed laty słuchali z uniesieniem we Fryburgu szwajcarskim wykładów o. Mandonneta o tym, jak chrześcijaństwo wchodziło w trzy wielkie przestrzenie duchowe, jedną starej synagogi, drugą Grecji, trzecią starożytnej Romy. W każdej z nich jedni wobec nadchodzącego Chrystusa drzwi zamykali, inni je otwierali.

Nie tu miejsce na to, żeby bliżej wskazywać, jak zamykały się i otwierały drzwi dla Chrystusa w trzech wielkich przestrzeniach duchowych, bo to robią dotąd historycy Kościoła (Lortz), chociaż powinni to robić także inni. Warto

natomiast wskazać na zagadnienie szczególniejsze, które by należało pod tym kątem widzenia opracować. Mam na myśli św. Pawła, bo ten apostoł inaczej zachowywał się wobec Żydów, inaczej wobec Greków a jeszcze inaczej wobec Rzymian zgodnie ze swym hasłem, że w obliczu Boga nie ma wolnego i niewolnika, Żyda, Greka lub Rzymianina, skoro wszyscy są synami jednego Ojca. Stosunek był jednak dwustronny, gdyż na to, co mówił św. Paweł, inaczej także reagowała Synagoga, inaczej Grecja, inaczej Roma. Żydowski monoteizm, grecka filozofia i rzymskie imperium niosły ze sobą inwersalizm, który otwierał drzwi dla chrześcijaństwa ale każda z trzech przestrzeni duchowych miała ponadto właściwe sobie cechy, częścią wrodzone, częścią historycznie nabyte, wskutek których przymykano drzwi, ilekroć na widnokręgu zjawił się św. Paweł ze swą ewangelią o Chrystusie Zmartwychwstałym. Najszlachetniej obeszli się z apostołem przedstawiciele trzech szkół filozoficznych, kiedy im mówił na ateńskim wzgórzu Aresa o Bogu w nas i o Bogu ponad nami, o Bogu, w którym poruszamy się, żyjemy i jesteśmy. Zachował apostoł najlepsze wspomnienia z greckiej Macedonii i jej osad Azji Mniejszej, bo go tam ani więziono, ani ćwiczono, ani jego życiu nie zagrażano. Przebiwszy się raz do pojęcia Logosa obrabiała je filozofia grecka z najrozmaitszych punktów widzenia, nie przeczuwając ani na chwilę, że w jej języku odezwie się metafizyk wśród ewangelistów św. Jan, oświadczając, że na początku wszystkiego było Słowo, był Logos. Otwarła Grecja drzwi areopagu przed św. Pawłem, by posłuchać tego co jej chciał powiedzieć o Logosie wcielonym i zmartwychwstałym, o Bogu nieznanym.

Zaczęły się znów otwierać drzwi niektórych przestrzeni duchowych w Europie i poza Europą. Poza Europą otwierają się w kraju najstarszej filozofii, w Indiach, gdzie się woła do europejskich misjonarzy: dajcie nam Logosa, dajcie nam Chrystusa a zostawcie dla siebie swe kultury i imperializmy. W samej Europie otwierają się drzwi tu i tam nie na to, żeby chrześcijaństwo do przestrzeni duchowej wprowadzić, lecz na to, żeby je z niej wyrugować. Wiadomo jak narodowy socjalizm starał się w Niemczech wyzwolić dusze z Chrystusa, z Boga immanentnego, a na jego miejsce wprowadzić religijny kult własnej rasy i krwi, jako najwyższej wartości na ziemi.

Przed wojną przedstawiciel młodzieży narodowo - socjalistycznej miał w jednej z sal Uniw. Jag. wykład na temat nowego światopoglądu. Poszedłem nań, bo się rozczytywałem w dziełach E. Kriecka o nowej, nacjonalistycznej filozofii w Niemczech. Widziałem wtedy jak akademicy z PPS złożyli w toku wykładu na katedrze bukiet płonących jak ognie róż, prosząc by go prelegent złożył na grobie zabitych w Niemczech socjalistów. Byłem w tej chwili całą duszą po stronie krakowskiej młodzieży. Nie wiem, czy ona by była w całości po mojej stronie nazajutrz, chociaż się spodziewam, że nie byłoby może inaczej. Przyszedł bowiem do Dziekanatu Teologicznego prelegent, by mi się przedstawić i dalej podyskutować. Wypowiedział się wtenczas aż do dna swej duszy, oświadczając, że mimo wszystko muszą „oni" podjąć walkę z chrześcijaństwem bez wszelkiego skrupułu, dopóki nie zginie aż do ostatnich swych korzeni. A jeżeli nie zginie? Wtedy, wtedy chyba by nie było wyrosło z ziemi.

Otwiera się dziś drzwi w niektórych przestrzeniach duchowych, by z nich usunąć chrześcijaństwo, usunąć Boga w nas i Boga ponad nami, Boga immanentnego i transcendentnego, do którego tęskniły i tęsknią kraje o najstarszej w świecie filozofii. Staje dziś myśl przeciwko myśli i siła mistyczna przeciwko sile ducha. Ze swej myśli filozoficznej wyprowadzam wniosek, że dla ziemi istnieją dwie naczelne sprawy, jedna sprawiedliwości społecznej, druga miłości: kto ma trochę dobrej woli i trochę cierpliwości może to wydobywać ze Summy teologicznej św. Tomasza, ale światopoglądowo najdroższa mi jest myśl o Bogu w nas i o Bogu poza nami, o Bogu immanentnym i transcendentnym. Dla Boga immanentnego nie ma w żadnym z nas drzwi zamkniętych, a jeżeli mimo wszystko drzwi do Niego się zamyka, znajduje się On i tak po jednej i drugiej ich stronie. Jeszcze jedno, praktyczne już, hasło musi być drogim dla każdego katolika, jak drogim jest dla mnie. Jeżeli pragnę, żeby zachowało się to, co jak życie i nad życie kocham, to muszę działać twórczo, gdyż **conservatio est continua creatio**: zachowuje ten, co ciągle tworzy. Pracując nad tym hasłem, będzie się ciągle zbliżało do Boga immanentnego w całej rzeczywistości i przejdzie się nieraz drzwiami zamkniętymi także w drodze do Boga.

Ks. Konstanty Michalski C.M.

KS. JAN SALAMUCHA

STRUKTURA KATOLICKIEGO POGLĄDU NA ŚWIAT

Chociaż dominującą rolę w światopoglądzie katolickim odgrywa wiara, to jednak Kościół od pierwszych wieków swego istnienia olbrzymie znaczenie w całokształcie światopoglądu katolickiego przyznawał filozofii, i w ogóle nauce. Żeby to znaczenie filozofii i nauki w światopoglądzie katolickim lepiej zrozumieć, trzeba się przyjrzeć jego strukturze.

1. WIARA

Wiarę tradycyjnie przeciwstawia się wiedzy. Nie znaczy to oczywiście, żeby wiara miała kolidować z wiedzą; wszelkie tendencje, próbujące programowo wprowadzić możliwość kolizji między „prawdziwą wiedzą" i „prawdziwą wiarą". Kościół katolicki potępiał jako heterodoksyjne. A tendencje takie w różnych postaciach wielokrotnie pojawiały się w dziejach Kościoła. Najwyraźniej wystąpiły one w wiekach średnich w teorii dwóch prawd: pewna teza może być prawdziwa w dziedzinie wiary, chociaż jest fałszywa w dziedzinie wiedzy i odwrotnie. Te same tendencje, tylko w sposób bardziej zamaskowany, wystąpiły na początku XX w. w modernizmie religijnym a i dzisiaj jeszcze ukrywają się pod postaciami wadliwie tradycjonalnego lub też emocjonalnego katolicyzmu. Kiedy ktoś z zapałem twierdzi, że jest katolikiem, bo przodkowie jego byli katolikami, w dodatku i „głos serca" w tym kierunku go prowadzi, ale myśleć to nad tymi sprawami nie należy, bo wtedy pojawiają się trudności i konflikty nieusuwalne — taki człowiek, może zresztą na wpół świadomie, wchodzi na niebezpieczny grunt teorii dwóch prawd. Ortodoksyjna myśl katolicka takie stanowisko odrzuca, bo nie można bez jakiegoś szkodliwego zamętu i zakłamania wewnętrznego wyznawać szczerze dwa przekonania sprzeczne: między „prawdziwą wiarą" a „prawdziwą wiedzą" kolizji nie ma, chociaż wiara i wiedza są to dziedziny zasadniczo różne i dlatego można je sobie nawzajem przeciwstawiać.

Do dziedziny wiedzy należą te przekonania, które bądź to są doświadczalnie lub intuicyjnie oczywiste, bądź też do przekonań doświadczalnie lub intuicyjnie oczywistych dadzą się logicznie sprowadzić; tezy wiary nie są ani doświadczalnie ani intuicyjnie oczywiste, ani też nie można ich logicznie wyprowadzać z tez oczywistych — dlatego wiara i wiedza są to dziedziny różne.

W psychologii wiary rozróżnia się dwa jej typy: wiarę emocjonalną i wiarę autorytatywną. Wiara emocjonalna polega na tym, że ktoś wyznaje pewne przekonania z pobudek czysto emocjonalnych i raczej emocjonalnie te swoje przekonania przeżywa — w konsekwencji wiara emocjonalna nie jest wyraźna w swej treści i może co najwyżej stanowić tło życia, ale nie dostarczy człowiekowi wyraźnych dyrektyw postępowania. Wiara autorytatywna polega na wyznawaniu pewnych przekonań nieoczywistych, ale nadających się do wyraźnych sformułowań, a motywem wyznawania tych przekonań jest uznanie autorytetu, który je głosi. Wiara autorytatywna jest o tyle irracjonalna że jej tezy nie są ani oczywiste, ani do tez oczywistych sprowadzalne; ale na tyle jest racjonalna, że można racjonalnie badać wartość autorytetu podstawowego i można racjonalnie badać treść jej tez — w konsekwencji wiara autorytatywna stwarza nie tylko swoiste tło życiowe dla człowieka wierzącego, lecz daje mu zarazem wyraźne dyrektywy postępowania.

Różnymi drogami ludzie do katolicyzmu przychodzą i w różny sposób treść wiary w ich psychice się kształtuje — te sprawy należą do psychologii wiary; w teorii światopoglądu katolickiego wiara katolicka jest wiarą autorytatywną.

Tezami wiary katolickiej są tezy przez Boga objawione i autorytatywnie przez Kościół stwierdzone (dogmaty).

Formułowane w postaci zdań tezy wiary katolickiej podzielmy na dwie grupy: tezy teoretyczne i tezy praktyczne, — i kolejno im się przypatrzmy z pewnego punktu widzenia.

2. TEZY TEORETYCZNE WIARY KATOLICKIEJ

Przedmiotem ich jest Bóg, człowiek, stosunek Boga do człowieka i stosunek Boga do świata. Jeżeli nawet tymczasem pominiemy poznawalność Boga, to jednak bez wątpienia przedmiotem samodzielnych badań ludzkich jest świat i człowiek. Tym lepiej będziemy rozumieli sens teoretycznych tez objawionych, im lepiej będziemy znali to, o czym się w nich mówi. Dlatego też filozoficzne i w ogóle naukowe badania świata i człowieka nie są dla wierzącego katolika obojętne, przeciwnie — uważając objawienie za najcenniejsze światło, orientujące go w tajemniczym półmroku tego świata, będzie katolik tak się ekwipował, żeby mógł jak najobficiej z tego światła korzystać. Potrzebny jest ekwipunek moralny, lecz użyteczny też będzie i ekwipunek teoretyczny: im lepiej zna się świat i człowieka, tym lepiej zrozumie się sens tez objawionych na temat stosunku Boga do człowieka i świata. A samo objawienie poucza, że tym lepiej poznajemy i samego Boga, im więcej znamy świat: „bo rzeczy Jego niewidzialne, od stworzenia świata, przez te rzeczy, które są uczynione, zrozumiane bywają poznane..." (Rzym, 1, 20). Cały świat jest dla człowieka wierzącego zbiorem znaków myśli Bożej: (**Cum Deus calculat et cogitationem exercet, mundus iit**" — Leibniz).

3. TEZY PRAKTYCZNE WIARY KATOLICKIEJ

Do tego działu należą wszystkie bezpośrednio lub pośrednio objawione dyrektywy postępowania. Objawienie podaje nam wzór dyrektyw koniecznych, które zachować trzeba, jeśli chcemy być katolikami i osiągnąć wskazywane nam przez religię cele. Wielu katolików ulega złudzeniu, że te normy objawione stanowią zupełną i wystarczającą teorię życia: „niech inni szukają rozwiązania dla różnych zagadek życia, my już mamy rozwiązanie gotowe, trzeba je tylko w życie wprowadzić". — Niebezpieczne to złudzenie i pociąga za sobą katastrofalne konsekwencje: bezmyślność lub życiową inercję. Trzeba się od tego złudzenia uwolnić.

Już sama oficjalna katolicka nauka moralna zawiera obok dogmatów moralnych: a) dyrektywy moralnego prawa naturalnego, b) kościelne rozporządzenia prawne, c) wskazania zawarte w encyklikach papieskich i innych enuncjacjach odpowiedzialnych władz kościelnych. Oczywistą więc jest rzeczą, że dogmaty moralne nie stanowią wystarczającej teorii życia, jeżeli nawet w oficjalnej nauce są uzupełniane przez inne zbiory norm. Te uzupełniające zbiory norm nie dadzą się wszystkie logicznie wyprowadzić z dogmatów moralnych, są zbiorami zasadniczo różnymi. Dyrektywy zawarte w zbiorach **b i c**, wydawane przez odpowiednie władze kościelne, mają za zadanie regulować zmieniające się koniunkturalne warunki życia indywidualnego i zbiorowego. Nie mogą być te dyrektywy niezgodne z dogmatami moralnymi, ale z tych dogmatów zasadniczo nie wynikają, ich treść jest zależna od znajomości warunków, które mają regulować; będzie tu chodziło głównie o różne sprawy z zakresu psychologii, biologii, socjologii i ekonomii społecznej. A więc dla działów **b i c** stan wymienionych nauk wcale nie jest obojętny.

Jeszcze wyraźniej potrzeba różnych wiadomości z dziedziny nauk szczegółowych występuje przy formułowaniu norm moralnego prawa naturalnego. Często się mówi, że moralne prawo naturalne jest nam „dane" i jest niezmienne; wszystko to prawda, tylko że z tymi powiedzeniami łączą się często zupełnie błędne intuicje. „Dane" są nam tzw. prawa przyrody, bo świat ma jakąś strukturę i zachodzą jakieś stałe zależności między jego elementami; prawa przyrody są też pod wieloma względami niezmienne a w każdym bądź razie są niezależne od człowieka (**natura vincitur oboediendo** — Francis Bacon). Wszystko to jednak nie zwalnia przyrodnika od mozolnej pracy, żeby te prawa odtworzyć i wyrazić je w poprawnych sformułowaniach. Jeżeli się mówi, że moralne prawo naturalne jest nam „dane", to przez to się podkreśla, że nie jest ono dowolną konstrukcją ludzką, że ściśle, funkcjonalnie jest zależne od struktury wszechświata i od psycho - fizycznej struktury człowieka. Człowiek moralnego prawa naturalnego nie tworzy dowolnie, ale też nie znajduje go w gotowej postaci tak, jak znajduje podany obiad na stole. Łudzimy się, jeśli myślimy, że wystarczy trochę się zastanowić i już mamy gotowe rozstrzygnięcie sytuacji według norm prawa naturalnego; takie pochopne i nieoględne szermowanie bronią prawa naturalnego było jedną z poważnych przyczyn upadku jego znaczenia w teoriach wieku XIX.

Tak jak mozolną pracą, rozłożoną na wieki całe odkrywamy prawa przyrody, podobnie mozolną pracą i również rozłożoną na wieki całe odkrywamy dyrektywy moralnego prawa naturalnego. W tej pracy, obok wielkiego wysiłku intelektualnego potrzebna jest znajomość i świata, i człowieka, czyli warunków wyznaczających funkcjonalnie treść prawa naturalnego.

Z dotychczasowych wywodów widzimy już wyraźnie, jak filozofia i nauki szczegółowe wchodzą w sam środek oficjalnej katolickiej nauki moralnej, ale na tym jeszcze nie koniec. Oficjalna katolicka nauka moralna jest tylko zbiorem aksjomatów i to zbiorem stanowiącym układ aksjomatyczny niezupełny. Jeżeli oficjalna katolicka nauka moralna jest tylko zbiorem aksjomatów, to należy rozwijać ją w system — dopiero wtedy można przy jej pomocy dokładnie porządkować życie. Bez takiego systematycznego rozwinięcia jest ona co prawda tak niewystarczająca, jak niewystarczający jest dla celów techniki nierozwinięty w system zbiór aksjomatów geometrycznych. Dla potrzeb techniki zbiór aksjomatów geometrycznych dopiero wtedy staje się bezpośrednio użyteczny, gdy jest przez matematykę rozwinięty w system. Technik, który nie jest matematykiem, gdy mu podamy sam zbiór aksjomatów geometrycznych, nie będzie wiedział, co ma z nimi robić i gotów je odrzucić jako jałowe, banalne truizmy. Dla potrzeb życia oficjalna nauka katolicka musi być rozwijana w system — bez takiego rozwinięcia, praktyk, który nie jest teoretykiem, może ulec złudzeniu, że ma przed sobą zbiór mało ważnych ogólników. Do takiego systematycznego rozwijania aksjomatów katolickich potrzebne są narzędzia logiczne, nieraz bardzo subtelne, a nie ulega chyba wątpliwości, że użyteczna będzie przy tej pracy i znajomość człowieka, jako podmiotu działającego i znajomość świata, jako terenu, w którym człowiek ma swoją działalność, zgodnie z dyrektywami moralnymi rozwijać.

Atoli, oficjalna katolicka nauka moralna jest nie tylko samym nierozwiniętym w system zbiorem aksjomatów; zachodzi w dodatku co najmniej poważne prawdopodobieństwo, że stanowi ona układ aksjomatyczny niezupełny. Sama świadomość zupełności lub niezupełności pewnych układów aksjomatycznych jest zupełnie świeżej daty, zrodziła się ona dopiero w ostatnich latach na tle dokładnych badań nad systemami dedukcyjnymi. Układ aksjomatyczny jest zupełny wtedy i tylko wtedy, jeżeli wszystkie tezy sensowne systemu znakowego, wyznaczonego przez ten układ, są przy pomocy tego układu aksjomatycznego rozstrzygalne, tzn. każda teza sensowna jest, ze względu na dany układ aksjomatyczny, prawdziwa albo fałszywa. W systemie aksjomatycznym niezupełnym istnieją tezy nierozstrzygalne tzn. tezy, o których, opierając się na danym układzie aksjomatycznym, nie można powiedzieć ani że są prawdziwe, ani że są fałszywe. Zachodzi poważne prawdopodobieństwo, wielu logików uważa to już dzisiaj za fakt dowiedziony, że żaden system dedukcyjny, co najmniej tak bogaty jak arytmetyka teoretyczna, nie może być uporządkowany w system aksjomatyczny zupełny.

Oficjalna katolicka nauka moralna na pewno stanowi układ aksjomatyczny dla systemu o wiele bogatszego niż arytmetyka teoretyczna, wobec tego zachodzi tym większe prawdopodobieństwo, że stanowi ona układ aksjomatyczny niezupełny. To czyste logiczne prawdopodobieństwo zwiększa się jeszcze pod wpływem doświadczenia historycznego: różne ustroje społeczne i różne systemy gospodarcze były aprobowane przez oficjalną naukę katolicką. Fakt ten można próbować tłumaczyć zmianami zachodzącymi w warunkach życia ludzkiego niezależnie od uznawanych dyrektyw moralnych, ale sprawa będzie o wiele jaśniejsza, jeżeli założymy, że oficjalna [kato]licka nauka moralna stanowi układ aksjomatyczny niezupełny — wtedy różne co do treści systemy moralne mogą się mieścić w ramach aksjomatyki katolickiej, chociaż pewne inne będą przez nią wyraźnie wykluczone.

Obrazowo można niezupełność aksjomatyki katolickiej tak oto przedstawić. Oficjalna katolicka nauka moralna wyznacza życiu indywidualnemu dosyć szerokie, choć wyraźnie uregulowane łożysko. Pewne sposoby życia indywidualnego czy zbiorowego, wychodzą poza granice tego łożyska, przestają być katolickie. Ale rozpiętość ścian tego katolickiego łożyska jest dosyć wielka: mogą tam płynąć prądy o różnych szerokościach i różnych kierunkach, różnej głębokości i o różnej energii przepływu, a znaleźć się tam mogą, niestety, i katolickie kałuże lub co najmniej, sadzawki i stawy stojące.

Jeżeli oficjalna katolicka nauka moralna nie wyznacza pełnej teorii życia, to trzeba dla konkretnych potrzeb dobudowywać teorie, uzupełniające. Przy budowaniu tych uzupełniających teoryj trzeba będzie wziąć do pomocy filozofię, socjologię, ekonomię, psychologię itd. Łożysko katolickie chroni nas od zasadniczych błędów, ale wcale nas nie zwalnia od intelektualnego wysiłku twórczego.

Dominującym składnikiem w światopoglądzie katolickim jest wiara. Ale wiara, w ujęciu katolickim, tak wewnętrznie i niejako organicznie łączy się z wysiłkiem badawczym umysłu ludzkiego, że oderwanie jej od badań naukowych pociąga za sobą zubożenie światopoglądu katolickiego i pomniejszenie sprawności życiowej katolicyzmu. Światopogląd katolicki nie da się bez reszty zracjonalizować, ale elementy irracjonalne związane są w nim w jedną organiczną całość.

Ks. Jan Salamucha

EXSULTET

WIELKANOCNY ŚPIEW DIAKONA PRZY POŚWIĘCENIU PASCHAŁU

Niech raduje się już niebieski orszak Aniołów, niech dzieją się radośnie Boże tajemnice i niech trąba Zbawienia ogłasza zwycięstwo tak potężnego Króla, niech się raduje i ziemia opromieniona blaskami, a gdy ją olśni świetność Wiekuistego Króla, niech cały świat się poczuje wyzwolony z ciemności. Niech się raduje i Kościół, Matka nasza, ozdobiona blaskami tak wielkiej jasności i mocnymi głosami ludu niech rozbrzmiewa ta świątynia.

Oto są święta paschalne, kiedy to zabity został Baranek prawdziwy, którego Krwią namaszczono drzwi wiernych. Oto noc, kiedy wywiódłszy z Egiptu ojców naszych, synów Izraela, przeprowadziłeś ich suchą nogą przez Morze Czerwone. Oto noc, która rozjaśniła ciemności grzechu światłem słupa ognistego. Oto noc, która wszystkich wierzących w Chrystusa na całej ziemi, wyzwoliwszy od namiętności światowych i ciemności grzechu, przywróciła do łaski i oddała świętości. Oto noc, kiedy Chrystus, skruszywszy okowy śmierci, zwycięski z piekieł wstąpił na niebiosa. Lepiej by nam było się nie rodzić, gdybyśmy nie mieli być odkupieni. O przedziwna dla nas łaska Twego zmiłowania! O niepojęte szaleństwo miłości: dla odkupienia sług wydałeś Syna własnego! O zaprawdę konieczny grzechu Adama, zgładzony śmiercią Chrystusa! O szczęśliwa wino, któraś zasłużyła takiego mieć Odkupiciela! O prawdziwie błogosławiona nocy, tyś jedna była godna znać czas i godzinę Zmartwychwstania Chrystusa! Oto noc, o której napisano: A noc jako dzień zajaśnieje: I noc będzie mi światłością w rozkoszach moich! Świętość nocy tej wypędza zbrodnie, zmywa winy i przywraca niewinność upadłym, a radość smutnym. Rozprasza nienawiści, utwierdza zgodę i poddaje królestwa.

Tłumaczył z łaciny Leopold Staff.

DANIEL ROPS O MANUSKRYPTACH BIBLIJNYCH

W miesięczniku „Le Table Ronde" znany pisarz katolicki Daniel Rops omawia znaczenie odkopanych w pobliżu Morza Martwego rękopisów biblijnych (o odkryciach tych pisał ks. J. T. Milik w ŻYCIU kilka miesięcy temu; poza tym daliśmy o nich szereg dłuższych notatek informacyjnych).

Rops przytacza słowa uczonego amerykańskiego W. F. Albrighta, że mamy tu do czynienia z najbardziej sensacyjnym odkryciem archeologicznym czasów nowożytnych. Rops koryguje to w tym kierunku, że jest to jedno z najdonioślejszych znalezisk naszej ery i przytacza kilka innych, zdaniem jego równie ważnych. Jednym z nich było dokonane w r. 1900 przez Evansa odgrzebanie i historyczne odtworzenie królestwa Minosa na Krecie z jej prastarą cywilizacją, potem w r.1914 Winckler, grzebiący się w okolicy Boghas-Kui przyczynił się do rekonstrukcji dziejów innej przedwczesnej cywilizacji: Hittyów. Podobnie genialną intuicję wykazał konsul Francji w Mosulu Émile Botta, którego prace doprowadziły do okrycia martwych miast na równinie mezopotamskiej. Przedtem zaś geniusz Champolliona pozwolił na przeniknięcie zagadki hieroglifów egipskich.

„Być może jednak — stwierdza Rops — cudowne znaleziska w Khirbet Qumran i w grotach nadbrzeżnych urwisk Judei odsłonią oczom naszym rzeczy jeszcze donioślejsze, wyjaśnią tajemnicze do tej pory aspekty Księgi nad Księgami i dziejów Ziemi Obiecanej, może przybliżą nam trochę niewysłowioną tajemnicę Objawienia."

Rops opisuje następnie historię znalezisk aż po dzień dzisiejszy. Stwierdza, że wśród książek, jakie się na ten temat ukazały, pierwszeństwo przyznać należy opracowaniu ks. Vincent „Les Manuscrits de la Mer Morte" (wyd. Fayarda w zbiorze „Textes pour l'histoire sacrée"), oraz książce „Manuscrits du désert de Juda" (wyd. Desclée), której autorem jest o. Geza Vermés.

Znaleziska judzkie ważne są z szeregu względów. Przede wszystkim przynoszą one wiele, jeśli chodzi o sam Tekst Pisma Świętego. Odgrzebano zostały duże fragmenty ksiąg „Genesis", „Exodus", „Deuteronomion". Księgę Izajasza odnaleziono w dwóch egzemplarzach, z których jeden pochodzi z I wieku przed Chr., a drugi z I wieku po Chr. Otóż warto zaznaczyć, że okres czasu między pojawieniem się dzieł klasyków greckich i rzymskich, a napisaniem pierwszej znanej nam kopii tych dzieł, wynosi zwykle około półtora tysiąca lat — dokładnie szesnaście stuleci dla Eurypidesa i Katulla, a trzynaście wieków dla Platona. Podobnie było ze Starym Testamentem, którego najstarsza znana kopia nie pochodziła sprzed roku 1000. Dzięki rękopisom odkrytym w grotach judzkich, a raczej dzięki ich cudownemu zachowaniu się, na co wpłynęło zarówno niezmiernie staranne ich opakowanie, jak dwutysiącletnie zapomnienie oraz suchość klimatu, mamy obecnie wiele bardzo ważnych części Starego Testamentu w kopiach starszych o mniej więcej tysiąc lat od znanych do tej pory.

Rozpoczęto już prace porównawcze, które — jak dotąd — wskazują na dokładność tradycyjnego tekstu biblijnego, przekazywanego nam przez tyle stuleci. Wśród znalezisk znajdują się liczne fragmenty Ksiąg Proroczych Daniela; pochodzą one wedle ocen archeologów mniej więcej z roku 160 przed nar. Chr. Otóż wielu współczesnych egzegetów twierdzi, że księgi te otrzymały swój tekst ostateczny za panowania Antiocha Epifana, a więc między r. 175 a 164 przed nar. Chr. Mamy więc obecnie kopie dokładnie współczesne powstaniu tekstu ostatecznego... Byłby to jedyny wypadek tego rodzaju w całych dziejach starożytności.

Ale odkrycia judzkie — pisze Rops — ważne są nie tylko dla ustalenia tekstów Starego Testamentu: obok nich znaleziono także liczne inne rękopisy, oświetlające tło społeczne, ludzkie, a przede wszystkim religijne tekstów biblijnych. Są wśród nich rzeczy do tej pory zupełnie nieznane, między innymi przepiękne psalmy. Wyłania się z nich także historia, organizacja i oblicze ideowe sekty Esseńczyków, która była rodzajem zakonu o surowej dyscyplinie i główną swą siedzibę miała, jak się zdaje, właśnie w Qumran. Jej to właśnie zawdzięczamy tak staranne nagromadzenie manuskryptów biblijnych i ich konsekwencję, która przetrwała dwa tysiące lat.

Rops snuje następnie interesujące rozważania na temat wpływu, jaki sekta ta wywrzeć mogła na św. Jana Chrziciela oraz na powstanie i charakter pierwszych gmin chrześcijańskich. Przeprowadzone ostatnio badania wykryły pokrewieństwa między doktryną Esseńczyków a Ewangelią. Niektóre formuły Ewangelii św. Jana są zupełnie równobrzmiące ze znajdującymi się w w odnalezionych manuskryptach Esseńczyków. Nawet samo pojęcie Kościoła takie, jakie znajdujemy w nauce Chrystusa, jest bliskie koncepcji, wyznawanej przez społeczność Esseńczyków nad Morzem Martwy.

Niemniej — konkluduje Rops — w tekstach esseńskich brak tego ducha, który przyniosło chrześcijaństwo.

ZYGMUNT TURKIEWICZ

„REALIZM NIEBIAŃSKI" FRA ANGELICA

W 500 rocznicę zgonu wielkiego malarza Quattrocenta

Wędrując po Włoszech i zwiedzając różne kościoły, muzea i pałace, poznałem w Rzymie ojca Angusa, dominikanina pochodzenia irlandzkiego. W jego towarzystwie obejrzałem różne zabytki i dzieła sztuki Wiecznego Miasta. Dzięki trafnym jego uwagom granica pomiędzy antyczną sztuką pogańską a sztuką chrześcijańską zarysowała mi się o wiele wyraźniej. Zastanawialiśmy się również nad problemami sztuki współczesnej. Dla kogo i po co tworzą dzisiejsi artyści? W pewnej chwili padre Angus pół serio powiedział: „Problem tak bardzo zawiły i ważny dzisiaj, prawdopodobnie nie istniał w przeszłości, ponieważ mistrzowie czasów minionych tak byli zawaleni zamówieniami, że nie mieli po prostu czasu na podobne rozmyślania". Padre Angus był malarzem i troski dzisiejszych artystów nie były mu obce. Sam jednak wolny był od tych zmartwień.



Fra Angelico — Zdjęcie z Krzyża.

Pokazał mi swój fresk, który właśnie skończył malować w refektarzu swego klasztoru przy kościele św. Klemensa. Dużych rozmiarów malowidło, przedstawiające Zdjęcie z Krzyża, nie posiadało żadnych charakterystycznych cech malarstwa współczesnego. Była to kompozycja o realistycznym rysunku i ściszonych, szaro-złocistych kolorach, przeznaczona dla mnichów, którzy gromadzili się tutaj każdego dnia. Malowidło to miało im przypominać o Ofierze, jaką złożył Chrystus za rodzaj ludzki. Ta idea była dla malarza najważniejsza i wszystko tutaj było jej podporządkowane. Padre Angus zakończył pokaz słowami: „Naturalnie, celem mego życia jest zasłużyć sobie na zbawienie, ale — dodał zaraz — gdyby ten cel można było osiągnąć przez malarstwo, byłbym szczęśliwy podwójnie." Zrozumiałem w tym momencie, dlaczego dla tego malarza nie istniały kłopoty nawiedzające innych współczesnych mu artystów. Nie musiał się po prostu wysilać na szukanie nowych rozwiązań kompozycyjnych i kolorystycznych, bo nie zależało mu na zwróceniu na siebie uwagi zblazowanych handlarzy sztuki i kolekcjonerów. Dla Padre Angusa — najważniejsze w sztuce było przeżycie religijne.

Ta swoista postawa wobec zagadnień malarskich przywiodła mi na pamięć innego dominikanina ze słonecznej Italii, żyjącego w czasach humanizmu, Fra Beato Angelico, który służył Bogu swoim talentem, zdobywając sławę ziemską i zapewne chwałę niebieską. Papież Mikołaj V — humanista — ułożył osobiście napis na płytę nagrobkową dla tego dominikańskiego malarza. W bieżącym roku upływa 500 lat od śmierci tego skromnego mnicha, którego imię znane jest w całym świecie dzięki jego sztuce malarskiej oraz jego cnotom chrześcijańskim.

Naprawdę nie wiadomo, czemu należy przypisać fakt, że jego dzieła, mimo iż pół tysiąca lat dzieli od ich powstania, nic nie straciły na swej świeżości. Bez specjalnych zabiegów konserwatorskich, prawie nie tknięte przez restauratorów, liczne jego obrazy rozsiane po muzeach światowych, jak też freski na ścianach cel klasztornych i kaplic — wyglądają jakby dzisiaj były malowane, jedynie treść tych malatur, ich forma i jakiś niespotykany „realizm niebiański" świadczą, że powstały one w przeszłości.

Metoda malowania, jaką sobie wypracował i którą się posługiwał Fra Angelico wywodzi się zapewne wprost z miniatur gotyckich. Ten sam jasny i radosny koloryt oraz złocone tła, używane przez miniaturzystów, odnajdujemy w obrazach Angelica. Ta sama ostrożność rysunku, z tendencją do wykończania szczegółów, podobny schemat kompozycyjny. Przypuszczalnie Fra Angelico zaczął swą karierę malarską jako miniaturzysta. Wiemy, że zanim tworzył słynne freski, malował relikwiarze i małe obrazy na deskach, głównie Madonny oraz obrazy ołtarzowe i tryptyki. Jego „Zwiastowanie" — obraz dużej wartości, namalowany dla kościoła w Fiesole, znajduje się obecnie w Madrycie. Inne sławne dzieło ołtarzowe „Ukoronowanie N. Maryi Panny", jest ozdobą Louvru, a olbrzymi obraz znajdujący się obecnie we Florenckiej Akademii Sztuk Pięknych był namalowany przez Fra Angelico dla klasztoru karmelitów, w dolinie górnego Tybru, zwanego Carentino. Pierwsze większe dzieło podpisane przez artystę nosi datę 1433, malarz miał więc już 46 lat w tym czasie.

Fra Angelico był malarzem par excellence religijnym. Był mnichem i to zapewne wpłynęło na jego przekonanie, iż Bóg używa go jako narzędzia do tworzenia wielkich dzieł. Przekonany o tym, że każda kompozycja, każda forma czy wyraz, jakie wychodzą spod jego pędzla, są natchnione przez Boga, nie śmiał niczego poprawiać, co raz zostało namalowane. Malował więc bez retuszów i poprawek, z wielkim przejęciem i religijnym wzruszeniem. Legenda głosi, że jeden z jego fresków w klasztorze San Marco we Florencji, przedstawiający Ukrzyżowanie, Fra Angelico malował na klęczkach. Tematy dla swoich kompozycji czerpał głównie z Ewangelii i jedynym bodajże wyjątkiem jest pod tym względem dekoracja kaplicy Mikołaja V w Watykanie, którą wykonał na zamówienie tego papieża.

Wiemy dobrze o tym, że nie wystarczy malować obrazy o tematyce religijnej, aby uchodzić za malarza kościelnego. O wiele ważniejszy od tematyki jest duch, którym dzieło zostało przepojone. Pewna poważna malarka polska, która zainteresowała się sztuką kościelną, zdecydowała się wstąpić do klasztoru uważając, że tego rodzaju sztuka wymaga w pierwszym rzędzie kontemplacji i praktyk religijnych. Fakt ten nie wyklucza, oczywiście możliwości tworzenia przez ludzi świeckich dzieł w duchu chrześcijańskim. Na przestrzeni dziejów sztuki posiadamy setki tysięcy przykładów w postaci dzieł architektury, rzeźby i malarstwa, stworzonych przez artystów świeckich, którzy czerpali inspirację z Ewangelii. Najpotężniejszym dziełem, jakie wydała Europa w wyniku inspiracji Dobrej Nowiny, był gotyk, który przecież po upadku świata grecko-rzymskiego był w Europie pierwszą reakcją na dezorganizację kulturalną. Gotyk był pierwszym w Europie ruchem pełnym i jednolitym w architekturze, rzeźbie i w sztuce kolorów. Przedwczesne zaś uśmiercenie tej nawskroś religijnej sztuki w momencie jej pełnej żywotności — przypisać należy w pierwszym rzędzie snobizmowi bogacącego się mieszczaństwa XV i XVI wieku.

Fra Angelico intuicyjnie czy może też świadomie nawiązał do tradycji gotyckiej, słusznie wyczuwając, że za pomocą tej formy łatwiej i pełniej wyrazi sweje religijne wzruszenie. Trzeba zaś pamiętać, że gotyk nigdy nie miał powodzenia we Włoszech, a w czasach budzącego się Odrodzenia nazywano go sztuką barbarzyńską.

Oczywiście, w malarstwie Angelica forma gotycka została mocno przefiltrowana przez malarstwo Giotta, a później także i przez sztukę Masaccia. Również żywotne ruchy w sztuce Quattrocenta z wynalazkiem perspektywy linearnej, z rzeźbą Donatella i silnie kontrastowym malarstwem Masaccia, nie mogły być nie zauważone przez tak cenionego w XV wieku malarza, jakim był Fra Angelico. Niemniej, ten oddany sprawom Boskim artysta wybierał i przyswajał sobie tylko te elementy z bogatego wachlarza nowych odkryć, które pomagały do pełniejszego wyrażenia jego tęsknoty do Królestwa Niebieskiego.

Malarstwo Fra Angelica rozpatrywane dzisiaj i mierzone wyłącznie kryteriami formalnymi, niestety zagadnienia nie wyczerpuje. Uniesienia religijne artysty przetopione w kolory, rytmy i formy, można jedynie odczuć, jeżeli stać nas na takie odczucie.

Fra Angelico był jako malarz znany szeroko, najznakomitsze korporacje i klasztory ubiegały się o jego sztukę, ba nawet i papieże!

* * *

Wychowani na dzisiejszej sztuce martwych natur, pejzaży oraz bardzo nieskomplikowanych kolorowych płaszczyzn, które łatwo bawią naszą wrażliwość, nie znosimy wysiłku umysłowego, potrzebnego do ogarnięcia potężnej kompozycji, rzuconej na płótno czy tynk — z licznymi postaciami w przeróżnych pozach, z architekturą w tle, z drzewami, kwiatami i martwymi naturami oraz z całym tym wyjątkowym wyrazem psychologicznym, który znamionuje dzieła mistrzów przeszłości. Nic też dziwnego, że możemy się czuć zrazu rozczarowani w klasztorze San Marco, we Florencji, którego cele zakonne pokryte są freskami Fra Angelica. Freski te to bodaj najsławniejsze z prac Angelica. Prostota, z jaką zostały one namalowane, jest niespotykana. Ściany ciasnych cel zakonników nawet nie zostały tutaj podzielone na jakieś kompozycyjne płaszczyzny, tak że sceny z życia Chrystusa Pana i Jego Matki zostały namalowane wprost na białym tynku, od którego odgraniczano je tylko również malowanymi ramami. Prostota i jasność rysunku oraz czytelność zamierzeń wiąże się tak mocno z „duchem" miejsca i jego charakterem, iż zwiedzając ten klasztor nie czujemy się jak w jakimś muzeum czy nawet miejscu zabytkowym, ale jakby odsłonięto nagle przed nami rąbek czasów bardzo odległych. I nie zdziwilibyśmy się zapewne, gdyby tak z krużganków doszedł nas śpiew mnichów i szmer modlitw.



Fra Angelico — Ofiarowanie w świątyni (fragment)

Freski te mają dużo z prostoty i łatwości dzieł malowanych przez zdolnych dyletantów. Kolory są bardzo żywe i „ozdobne", ale niezbyt mocne, niemniej jednak gdy wpatrzymy się w te malowidła i wczujemy się w ich treść, zapominamy nawet o tym, że rysunek nie zdradza wrażliwości na formę lecz wykazuje rutynę w posługiwaniu się utartą naonczas metodą pół-klasyczną. Nie, sztuka Fra Angelica musi być mierzoną inną miarą, niż martwe natury Picasso'a. Cała zaś skomplikowana symbolika kolorów i gestów przeróżnych, mających określone znaczenie w malarstwie Fra Angelica wymaga odrębnych studiów.

W wielkiej scenie Ukrzyżowania niebo jest czerwone, a pustynia biało-różowa. Pod Krzyżem malarz umieścił nie tylko Matkę Boską, ale i apostołów, patriarchów, a nawet biskupów i dominikanów — ludzi prawie mu współczesnych. Ten wówczas nowy, realistyczny element ma przypominać, że każdego dnia Chrystus umiera za grzechy ludzkie. Ofiara na Krzyżu przestaje być dla artysty tylko samym faktem historycznym, ale jest aktem, w którym cały Kościół bez przerwy bierze udział. Nawet pejzaż tej kompozycji zawiera pewne uniwersalne elementy; przedstawia on dziką pustynię śmierci, którą zrasza Krew spływająca po drzewie Krzyża. W dolnej części ramy tego obrazu wkomponował Fra Angelico 17 portretów zasłużonych dominikanów.

W scenie „Zwiastowania" namalowanej w szarościach i różach, poza postaciami Dziewicy i Archanioła umieścił malarz za kolumną, w tle, postać św. Piotra, który jest świadkiem tego niezwykłego zdarzenia.

„Dziewica na tronie i Święci" — to fresk o wyjątkowo zwartej konstrukcji kompozycyjnej. I tutaj bez trudu rozpoznajemy w Świętych — czterech Ewangelistów i św. Józefa — po takich rekwizytach, jak księgi, pióra i piła stolarska.

„Sąd Ostateczny" i „Ukoronowanie N. Maryi Panny" należą bez wątpienia do najpotężniejszych dzieł tego malarza.

Świat niebieski i jego wartości są dla Fra Angelica tak realne, jak jest dla nas świat materialny. Wyobrażając na ścianie celi klasztornej Królestwo Boże — używa do tego form ziemskich. I tak w „Ukoronowaniu" N. Maryja Panna spowita jest w płaszcz w kolorze błękitu nasyconego, któremu artysta mógł przeciwstawić tylko jakąś najbogatszą materię z rekwizytów ziemskich, a więc złoto. Na tym złocistym tle umieszczonych centralnie Chrystusa i Maryję otaczają grupy Aniołów z trąbami i święci mieszkańcy Niebios, których dziwną dematerializację wytłumaczyć można małymi różnicami między barwami, jakimi zostały namalowane twarze mieszkańców Królestwa Niebieskiego, a złotym tłem, które nadaje ton całej kompozycji.

Prywatna kaplica papieża Mikołaja V, której dekorację ten przyjaciel Floretyńczyków powierzył Fra Angelico, szczęśliwym zbiegiem okoliczności nie uległa zniszczeniu w czasie radykalnych przeróbek i przebudówek pontyfikalnego pałacu w XVI w. W ten sposób w Watykanie obok słynnej Kaplicy Sykstyńskiej i stanc Rafaelowskich możemy podziwiać również czarujący przykład dobrego gatunku sztuki włoskiego Quattrocenta.

Tematy tych fresków, pokrywających cztery ściany i plafon małego oratorium są związane z czynami wybitnych papieży. Na specjalną uwagę zasługują tutaj również postacie drugoplanowe, wzięte żywcem spośród osób artyście współczesnych, a jak twierdzi tradycja, są to portrety ówczesnych rzymskich monsignorów.

* * *

Florentyński malarz i mistyk, znany w historii sztuki jako Fra Giovanni Angelico lub Fra Beato Angelico czy też Fra Angelico da Fiesole, kiedy był małym chłopcem nazywał się Guidolino di Pietro. Urodził się w roku 1387 w miasteczku Vecchio, niedaleko Florencji. W dwudziestym roku życia wstąpił do zakonu św. Dominika i nowicjat odbył w Cortonie. Malarstwem interesował się jeszcze zanim postanowił zostać mnichem, ale dopiero gdy zrządzeniem Opatrzności razem z innymi braćmi-dominikanami musiał opuścić Fiesole jako wygnaniec i zatrzymał się w Foligno, w pobliżu Asyżu, otworzyły się dla tego młodzieńca możliwości studiowania malarstwa na sławnych freskach Giotta. Malarstwo Giotta i prześliczny krajobraz umbryjski, które chłonął za młodu, stały się dla niego istną kopalnią elementów jego sztuki i to przez długi okres jego twórczości. Skromny braciszek dominikański niebawem zasłynął jako jeden z najświetniejszych malarzy swojej epoki. Papieże Eugeniusz IV i Mikołaj V powierzali mu poważne prace, a wielkie zakony ubiegały się o jego freski dla swych murów klasztornych.

Fra Angelico umarł w Rzymie w roku 1455, pochowany został w kościele Santa Maria Sopra Minerva.

* * *

Wielkie dzieło Fra Angelica jest przykładem idealnej harmonii między ożywionym wiarą, wewnętrznym życiem człowiekiem i jego pracą artystyczną. Ideał to, o którym marzy tak wielu, a który tylko wybrani osiągają. Kto wie, czy życie zakonne i odosobnienie od świata i ludzi nie odegrało w tym wypadku roli decydującej. Acz kolwiek czasy obecne, w których żyje Padre Angus, tak ogromnie różnią się od XV wieku, czasów Fra Angelica, pobudki działalności artystycznej ich obu są te same. Ich głęboka i żywa wiara ożywia ich dzieło, zrodzone z największej miłości, jaką zna serce ludzkie.

Zygmunt Turkiewicz



Fra Angelico — Madonna wśród gwiazd.



Fra Angelico — Zwiastowanie (głowa N. M. Panny).

LEON KOWNACKI

OPORTUNIZM I DOKTRYNA

CERKIEW PRAWOSŁAWNA W ZWIĄZKU SOWIECKIM

Kościół prawosławny w Związku Sowieckim przeżył przynajmniej 3 okresy prześladowań, zanim doszło do względnego ułożenia stosunków między nim a państwem. Kler prawosławny, uznawany w początkach rewolucji za reakcyjny i wrogi doktrynie „budowy socjalizmu", był tępiony, a cerkwie zamykane i oddawane na użytek świecki. Po okresach prześladowań przychodziły okresy względnego spokoju; linia partyjna ulegała zmianom zależnie od zmniejszania się lub wzrastania trudności wewnętrznych. Dopiero wszakże we wrześniu 1943 roku, w czasie największego natężenia wojny, Stalin w asystencji Mołotowa przyjął metropolitę Sergiusza i zawarł z nim układ zezwalający na wybór patriarchy i restaurację Synodu, poddanego nadzorowi władzy państwowej. Układ ten był punktem zwrotnym w historii stosunków kościoła prawosławnego i partii; prześladowania hierarchii kościelnej ustały, kościół stał się instytucją tolerowaną.

ZA CENĘ SERWILIZMU

Patriarcha Sergiusz zapłacił jednak wysoką cenę za tę tolerancję: była to cena nie tylko całkowitej uległości, lecz i serwilizmu. Na krótko przed zawarciem układu telegrafował on do Stalina, sławiąc go jako „z łaski Bożej wyznaczonego przywódcę prowadzącego nas do zwycięstwa". W listopadzie r. 1943, z okazji rocznicy rewolucji, nawoływał wiernych do gorących modłów za „kraj nasz chroniony łaską Bożą i nasze władze z zesłanym nam przez Boga wodzem na czele". Po swym wyborze na patriarchę skierował niezwłocznie do sojuszników Związku Sowieckiego wezwanie do otwarcia drugiego frontu, oświadczając: „My Rosjanie jesteśmy najcierpliwszym narodem na świecie, lecz kielich naszej cierpliwości się przepełnia". Nie omieszkał także atakować Watykanu, zarzucając Papieżowi, że próbuje „rozgrzeszyć Niemcy z ich odpowiedzialności za zbrodnie wojenne".

Stalin był realistą i rozumiał, że instytucja cerkwi prawosławnej, pomimo prześladowań, tkwi nadal głęboko korzeniami w świadomości mas i że jej poparcia moralnego w dniach kryzysu nie należy lekceważyć, pod warunkiem, że słowem i czynami wykaże swą uległość. Nie było z tym trudności. Następca Sergiusza, patriarcha Aleksy, oświadczył po zwycięstwie nad Niemcami: „Dziękujmy Bogu, że zesłał nam mądrych ludzi do rządzenia naszym krajem i postawił na ich czele wybranego przez siebie wodza, Józefa Wissarionowicza Stalina, który poprowadził ojczyznę naszą do zwycięstwa i będzie prowadził ją nadal do niezmierzonej chwały". Od metropolitów i biskupów płynęły podobne oświadczenia. Hierarchia kościoła prawosławnego legła u stóp Stalina. „Paris vaut bien une messe".

Użyteczności swej dla władzy sowieckiej cerkiew nie utraciła dotychczas. Podpiera ona tę władzę swoim autorytetem, idąc na rękę wszelkim jej posunięciom taktycznym, jak osławiona propaganda światowego pokoju. Patriarcha moskiewski próbuje nawet sięgać po zwierzchnictwo nad całym kościołem bizantyjskim, należące tradycyjnie do patriarchatu konstantynopolskiego. Rząd sowiecki popiera te aspiracje, widząc w nich wzmocnienie swej władzy. Polityka cerkwi i partii idą w parze, cerkiew przeżywa okres pokoju.

CO INNEGO RELIGIA

Inaczej z religią. Religia nie przestała być wrogiem ateistycznego państwa, uznaje się ją nadal za „przeżytek burżuazyjny", niemożliwy do pogodzenia z zasadami „naukowego komunizmu". W wywodach propagandy sowieckiej na ten temat odzywają się niezmiennie echa XIX-wiecznego materializmu. „Młode pokolenie — pisze „Konsomolskaja Prawda" z 1 lipca 1954 r. — urodzone i wychowane w ustroju sowieckim, nie zdaje sobie sprawy, co to jest religia i jaką rolę odgrywa ona w społeczeństwie... Można zrozumieć lepiej istotę i rolę reakcyjną religii przez porównanie jej z innym zjawiskiem ideologicznym w życiu społecznym: nauką. Nauka — to system wiadomości dotyczących natury i społeczeństwa... potwierdzonych przez wiekowe doświadczenia ludzkości, służących rozwojowi społecznemu i idei postępu... Komunizm jest społecznością opartą na nauce, podczas gdy religia zawdzięcza swe pojawienie się prymitywnym warunkom bytu człowieka pierwotnego, przytłoczonego potężnymi siłami przyrody i niezdolnego do walki z nimi... Nauka i religia są przeciwstawne pod każdym względem... Nauka opiera się na obserwacji i doświadczeniu, religia na ślepej wierze, na fantastycznej pewności, że to co mówią „księgi święte" i służebnicy kultu, jest prawdziwe... Weźcie np. twierdzenie religii chrześcijańskiej, że Bóg jest jeden w trzech Osobach. Jakże można to zrozumieć?"

„Prawda" z 24 lipca r. ub. nawołuje do wzmożenia propagandy antyreligijnej i ubolewa nad jej zaniedbaniem. Praca wychowawcza partii — oświadcza pismo — dąży do wykorzenienia ze świadomości mas pracujących przeżytków ideologii burżuazyjnej i do wpojenia w te masy materialistycznego poglądu na świat, wiedzy o przyrodzie, przekonania o konieczności walki z zabobonami i przesądami. Rolę najważniejszą pod tym względem ma spełnić szkoła, wychowująca nowe pokolenie „ludzi sowieckich", tymczasem republikańskie ministerstwa oświaty nie poświęcają należytej uwagi sprawie wychowania młodzieży w duchu materialistycznym, a organizacje partyjne sprawę tę lekceważą. „Partia... nie może się pogodzić z pustką w jakiej się znajduje propaganda ateizmu naukowego".

INCOMPATIBILITAS

„Kommunist" z września 1954 r. stara się wniknąć w przyczyny odnawiania się ducha religijnego wśród ludności sowieckiej i widzi je w cierpieniach, jakich doświadczył naród wskutek wojny. „Religia usadawia się jak pasożyt na nieszczęściu ludzkim", ciosy i tragiczne przejścia pogłębiają przesądy religijne wśród tych, co nie zerwali jeszcze z nimi całkowicie, a kler z tego korzysta i wzmaga swoją działalność. „Wszystko to nie mogło nie wywołać pewnego przejściowego odżycia przesądów religijnych w zacofanych warstwach ludności". Jest to zjawisko niebezpieczne, mówi „Kommunist". Pogląd, rozpowszechniony wśród niektórych działaczy partyjnych, że w miarę postępów budowy komunizmu religia będzie zamierała, jest błędny. Zabobony religijne „... nie giną same przez się ani nie można ich zwalczyć środkami administracyjnymi... można je zniszczyć tylko przez zdwojenie pracy ideologicznej wśród mas". Dalej organ komunistyczny przechodzi do obalenia poglądu, wyznawanego przez niektóre sekty religijne, że Chrystus był „pierwszym komunistą" i że doktryna komunistyczna zbiega się całkowicie z doktryną chrześcijańską. „Co może być wspólnego między komunizmem naukowym, doktryną rewolucyjną, dążącą do przekształcenia społeczeństwa przez rewolucję i zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka — a chrześcijaństwem, które głosi pokorę i poddanie się wyzyskiwaczom, odrzuca walkę klas, chce pogodzić interesy uciskających i uciskiwanych... Chrześcijaństwo uświęca nierówność klas, ucisk kobiety i jej upośledzenie prawne w społeczeństwie burżuazyjnym i rodzinie... Komunizm naukowy jest nie do pogodzenia z religią."

Na tle tych głosów prasy sowieckiej staje się zrozumiała uchwała KC KPZS z dnia 10 listopada r. ub. „o błędach w propagandzie naukowo - ateistycznej". Uchwała stwierdza, że walka z religią była i jest nadal jednym z zadań partii komunistycznej, lecz potępia dotychczasowe metody tej walki. Działacze partyjni, zamiast zwalczać zabobony religijne przez upowszechnienie wiedzy przyrodniczej, atakują w sposób obraźliwy duchowieństwo i wierzących, wyśmiewają ich praktyki religijne i skłonni są ich uważać za ludzi politycznie niepewnych. Jest to niedopuszczalne, sprzeczne z linią partii i konstytucją sowiecką która gwarantuje wszak każdemu wolność sumienia. Jedyną skuteczną metodą uwalniania mas od przesądów religijnych jest cierpliwa, mozolna propaganda naukowo - ateistyczna, wszelkie natomiast środki administracyjne, zniewagi i akty gwałtu „mogą tylko wyrządzić szkodę, prowadząc do umocnienia się i spotęgowania przesądów". Aby nie było nieporozumień, uchwała zaznacza, że nie ma mowy o osłabianiu propagandy antyreligijnej, chodzi wyłącznie o jej wzmocnienie przez oparcie jej na wiedzy materialistycznej i metodzie przekonywania.

Uchwała nie jest więc jakimś objawem liberalizmu czy tolerancji religijnej ze strony następców Stalina; widać w niej zaniepokojenie małą skutecznością dotychczasowych metod walki z religią i dążenie do skierowania tej walki na tory, zdaniem autorów uchwały, właściwsze.

P A R A D O K S

Powstaje więc sytuacja paradoksalna: toleruje się a nawet popiera kościół, chce się zaś zniszczyć religię. Religia jest jednak wewnętrzną treścią kościoła, podważając religię, podważa się byt kościoła. W tym uznawaniu wspólnoty religijnej i walce z jej ideologią jest sprzeczność nie tylko teoretyczna: swobodna działalność kościoła, choćby tylko w granicach kultu, utrudnia propagandę antyreligijną. Na tę sprzeczność zwraca uwagę jeden z autorów sowieckich, zastanawiając się, czy teza o szkodliwości religii nie jest w warunkach obecnych przestarzała. „Stosunek cerkwi do budowy komunizmu jest całkowicie lojalny, wybitne osobistości hierarchii prawosławnej są gorliwymi szermierzami pokoju. Czy nie przyszedł czas, aby zmienić pogląd na religię i przestać traktować ją jako ideologię reakcyjną ... „Nie, odpowiada autor po dłuższym wywodzie — „religia jest jednak religią".

Doktryna więc pozostaje w mocy, lecz z ostrą przymieszką oportunizmu dyktowanego użytecznością cerkwi i — poczuciem bezradności wobec zjawiska przerastającego umysły rządzących. Partia, która nie cofnęła się przed terrorem dla zniszczenia resztek „gospodarki kapitalistycznej", tu decyduje się na swoisty kompromis, ujawnia jednak niepokój i szuka środków walki.

RELIGIA ŻYJE...

A podstawy do niepokoju istnieją. Po trzydziestu siedmiu latach rządów komunistycznych religijność mas nie tylko nie zmalała, lecz nastąpiło, zwłaszcza wśród młodzieży, jakby odnowienie ducha religijnego. Daje temu świadectwo sama prasa sowiecka. Jest to zjawisko zapewne ograniczone w swych rozmiarach, nie mniej symptomatyczne. Dowodzi ono siły instynktu religijnego, o który się rozbija anachroniczna naukowość materialistycznej koncepcji świata. Przytaczamy kilka obrazków z pism sowieckich.

„Konsomolska Prawda" z dnia 18 grudnia 1953 r. ubolewa, że młodzież należąca do Komsomołu a nawet jego organów kierowniczych pozostaje pod wpływem duchowieństwa, chodzi do kościoła i przyjmuje sakramenty. Pismo ogłasza też list ojca 21-letniej córki, w którym ten się skarży, że córka, członkini Komsomołu, uczennica szkoły radiotechnicznej, gotuje się do wstąpienia do klasztoru. Gazeta gruzińska „Tarija Wostoka" donosi, że wśród ludności krążą wieści o cudach, jakie miały wydarzyć się w Gruzji. Pogłoski o objawieniach są częste wśród ludności sowieckiej.

Ta sama „Komsomolskaja Prawda" z 29 listopada 1953 r. gorzko wyrzuca komitetowi rejonowemu w Staro-Mariewce zaniedbywanie propagandy nauk przyrodniczych, co ma ten skutek, że członkowie Komsomołu asystują gromadnie przy zawieraniu ślubów religijnych. Biblioteki rejonu są obficie zaopatrzone w literaturę „popularno - naukową", lecz nikt jej nie czyta. We wsi Swiatiszcze, informuje pismo, jest cerkiew prawosławna, w której śpiewa znakomity chór, w klubie zaś wiejskim poniewiera się jedna jedynie rozbita gitara... „Duchowni wygłaszają swe kazania z pasją, z przekonaniem i nie zaglądają ukradkiem w notatki... Wielu młodych ludzi chodzi do cerkwi w Kungursku, aby posłuchać wymowy popa Bartowa..."

A M U L E T

Korespondentka „Krokodyla" w nrze z 10 maja 1954 r. opowiada o starych kobietach ciągnących sznurem do cerkwi, aby przed świętami Wielkiejnocy poświęcić swe paschy i kołacze. Obok kobiet idą małe dzieci, niosąc także z dumą paczki przybrane kolorowym papierem. „Wczoraj śpiewali Wielkanoc, jutro będą świętować 1 maja... Jakże to możliwe " — pyta oburzona korespondentka. Zauważyła ona, że dziewczynka z rodziny komunistycznej nosi na szyi „amulet" w postaci miniaturowej ikony. Okazało się z rozmowy, że prawie cała rodzina była na święta wielkanocne w cerkwi a potem, tradycyjnym zwyczajem, spożywała święcone. Ojciec, aktywista partii, zajadał ze smakiem kołacze i poświęconą paschę. „Jaka piękna tradycja" — pouczał on swe potomstwo. — „Pamiętam moje nędzne dzieciństwo: kawałek kołacza i malowane jajko, to wszystko cośmy mieli na te radosne święta A teraz, dzięki Bogu..."

Przypomina się Peppone i jego dialogi z Don Camillo.

Lektor filologii w muzeum Ermitażu pełni obowiązki diakona w katedrze leningradzkiej. Specjalista fizjolog w tymże mieście nie chce brać udziału w konferencjach antyreligijnych oświadczając, że jest wierzący.

Kwitną także i sekty. Adwentyści, według informacji „Komsomolskiej Prawdy", zyskali w r. ub. 5 neofitów, członków Komsomołu, w r. b. — 18. Baptyści, przy całkowitej obojętności komitetu rejonowego, nawrócili ostatnio 15 komsomolców. Korespondent pisma opowiada o zebraniu sekty głoszącej „niesprzeciwianie się złu, odgrodzenie się od życia i modły za nieprzyjaciół". Kazanie, którego zebrani słuchali w ekstatycznym skupieniu, wygłaszał młodzieniec wychowany w szkole sowieckiej, z zawodu konstruktor techniczny. Sekta starowierów liczy 3 miliony członków zgrupowanych w 300 parafiach z 200 duchownymi. Jezioro Swietłojar, kryjące rzekomo w swych głębiach mityczne miasto Kitaj, jest nadal celem licznych pielgrzymek starowierów. Sekty, ze względu na swą postawę przeważnie antyrządową, są zwalczane przez władze sowieckie.

CZY SĄ CZAROWNICY?

Daleko więc w Związku Sowieckim do wymarzonego przez komunistów powszechnego tryumfu „materialistycznej koncepcji świata". Wiara chrześcijańska żyje nie tylko wśród starszego pokolenia, lecz ogarnia też rzesze młodzieży kształconej w materializmie dialektycznym i ubóstwianiu produkcji. Indoktrynacja ta daje czasami dziwne rezultaty. D. Dallin w swej książce „The Real Soviet Russia" przytacza list otrzymany przez „Komsomolską Prawdę" od jednego z absolwentów kursu propagandy antyreligijnej. „Odrzucamy wszystko co napisano o Bogu i twierdzimy, że nie było i nie ma takiej osoby. Fakt ten został ustalony na podstawie danych naukowych dotyczących pochodzenia człowieka i początku wszechświata. Interesuje mnie jednak co innego: czy czarownicy i zaklinacze rzeczywiście istnieją i czym jest władza, która im pozwala na przemienianie ludzi w świnie, psy, itd.? Będziecie temu może zaprzeczać, lecz są to fakty".

Wiara wygnana przemocą z duszy prostaczka wraca do niej zabobonem. To przykład mitu „sowieckiego człowieka"

Leon Kownacki

NASZE SPRAWY

MYŚLENIE

Patrząc na rozmaitych naszych emigracyjnych antykomunistów, bardzo zamaszyście potępiających doktrynę komunistyczną przy kawie z ciastkiem lub przy p.wie, a nawet piszących przeciwko niej cięte felietony w naszej emigracyjnej prasie, nieraz zadaję sobie pytanie, co by też ci ludzie zaczęli mówić, gdyby z pół roku posiedzieli w bierutowsk.m więzieniu oko w oko z wyszkolonym w dialektyce marksistowsko-leninowskiej prokuratorem, dzień w dzień drążącym ich mózgi swoją przeplataną groźbami i kusicielskimi namowami argumentacją filozof.czną.

Nie mówię o prostych ludziach. Prosty człowiek ma po pierwsze o wiele mocniejszą od przeciętnego polskiego inteligenta wiarę w Boga, która jest dla niego busolą, nie pozwalającą mu zejść na myślowe manowce, a po wtóre ma o wiele w.ęcej zdrowego rozsądku. Nie da się on tak łatwo wodzić za nos zręczną dialektyką; wie niewiele, ale co wie, to wie jak się patrzy i nie da się zbić z tropu. Jest on przy tym skromny; nie jest zadufany w swej intel.gencji i nie da się ponieść na flukta „samodzielnego myślenia", będącego w istocie poddaniem się wpływowi urabiającej go propagandy.

Ale inteligenci?

Proszę nie przypominać, że inteligenci przecież byli w łagrach! W łagrach nie mówiło się o doktrynie, tylko się rąbało las, lub kopało rudę. A jeśli nawet ktoś miał sprawę — to represje były tak masowe, że miał do czynienia z trzeciorzędnym garniturem prokuratorów i sędziów śledczych, uprawiającym swoje rzem.osło nie po zegarmistrzowsku, ale po kowalsku. Ale dzisiaj w Polsce sytuacja jest zupełnie inna. Czasy się uspokoiły, władze mają możność zająć się każdą jednostką z osobna, uważnie, w sposób zindywidualizowany. I rzecz bardzo ważna: prokuratorzy to nie są Moskale z głębi Eurazji ,nadający się do prowadzenia śledztw wśród mużyków, ale Polacy, lub polscy Żydzi, lub w ogóle ludzie znający stosunki polskie i europejskie i do pracy wśród Polaków specjalnie wyszkoleni.

Nie miałem nigdy do czynienia z komun stycznym prokuratorem. Ale miałem sposobność zakosztować zetknięcia ze światem myśli i dialektyki marksowsk ej przy innej okazji. Tak się złożyło, że przez dziewięć miesięcy w latach 1944 i 1945 siedz ałem w obozie w Niemczech z jednym z najinteligentniejszych z dzisiejszych ministrów rządu komunistycznego w Polsce i na organizowanych przez niego referatach i dyskusjach bywałem dość systematycznie po to, by starać się zneutral zować jego wpływ intelektualny na innych. Gdy później byłem w 1945 roku w Polsce, a także i dzisiaj, gdy biorę do ręki „krajowe" książki i gazety, zawsze mi staje przed oczyma wspomnienie tych dyskusji — jako żywa ilustracja tego, jak wygląda mechanika intelektualnego wpływu komunizmu.

Istota sprawy polega na tym, że komunizm to jest nadzwyczaj wykończony system poglądów. To jest doktryna nie tylko ekonomiczna, społeczna i polityczna, ale także i system quasi-filozoficzny. To prawda, że to system prymitywny i prostacki, a zarazem mający założenie tak dalece amoralne, że w praktyce jest systemem szatańsko przewrotnym. Ale to jest — system. Daje on prostą, logiczną, jasną odpowiedź na każde pytanie. Jest to system konsekwentny i zwarty. Wywiera on nieprzeparty wpływ na pewien typ umysłów, spragnionych myślowego ładu, oraz skłonnych zarazem do mechanistycznego ujmowania rzeczywistości. Człowiek nie wdrożony do myślenia głębszego, ale zarazem mający w pracy umysłu jaką taką zaprawę, gdy się z tym systemem zetknie, jest wobec niego bezradny i bezbronny.

A nowoczesny inteligent nie jest wdrożony do głębszego myślenia. Cóż może powiedzieć normalny nowoczesny inżynier, lekarz, a nawet prawnik, czy ekonomista na tematy filozoficzne? Najczęściej, nie rozumie on nawet, co to właściwie jest filozofia i jaki jest istotny przedm.ot jej dociekań.

Zwróćmy uwagę, jak wiele wysiłku wkłada komunizm w uczenie ludzi „filozofii" marksizmu-leninizmu! Uczą tej filozofii w szkołach średnich, wymagają egzaminów z n.ej na wyższych uczelniach rob ą o niej kursa urzędnikom, w formie popularnej i rozwodnionej wbijają ją w głowy nawet rekrutom w koszarach. System rządów komunistycznych jest systemem politycznym, oddanym w służbę systemu filozoficznego (czy też quasi-filozoficznego). Toteż walka z nim, to nie jest walka polityczna (nie mówiąc o wojennej), ale to jest także, a nawet przede wszystkim, walka myślowa. Zwróćmy uwagę, jak wielkie podboje czyni komunizmu wśród pewnego gatunku kół intelektualnych na zachodzie! Czyni je dlatego, bo cechą tych kół jest światopoglądowa pustka. A komunizm jest w stanie tę pustkę wypełnić. Jaką treścią — to jest inna sprawa. Ale bądź co bądź jakąś treścią.

Cechą dzisiejszego człowieka — cechą także i tego gatunku polskiego inteligenta, który się duchowo oderwał od polskiej tradycji — jest zanik podstaw filozoficznych w sposobie myślenia. Uważa on istnienie Boga nie za prawdę filozoficzną, nie za podstawę pojęcia o św ecie, ale za wierzenie irracjonalne. Człowiek ten najczęściej w Boga w gruncie rzeczy nie wierzy. Ale nawet jeśli wierzy, to wiara jego jest irracjonalna i oderwana od systemu jego rozumowych pojęć, a nawet z nim sprzeczna. Gdy ktoś wiarę tę zaatakuje argumentami rozumowymi — łatwo ją skruszyć może.

Liczny gatunek polskiej inteligencji w kraju jest bezbronny wobec naporu propagandy komunistycznej nie tylko dlatego, że nie ma wiary, ale także i dlatego, że nie ma ładu w głowie. Inteligencja jest dziś w Polsce niewątpliwie tą warstwą społeczną, która jest przez wpływ komunizmu najbardziej zagrożona. A my na emigracji? Obawiam się, że gdy wrócimy do kraju, to będziemy wobec myślowego wpływu komunizmu bardziej bezbronni, niż ludzie tamtejsi, bo nie jesteśmy do walki z nim stopniowo zaprawieni. A przecież to chyba powinno być nasze zadanie, byśmy wspierali kraj w jego walce ideowej — naszym wysiłkiem myślowym, pisaniem książek, gromadzeniem argumentów, odpieraniem ataków.

Potrzeba nam jest nie tylko pogłębienia wiary, ale i pogłębienia myślowego! Potrzeba nam jest katolickiej myśli f.lozoficznej — i potrzeba jest także szerszego spopularyzowania podstawowych filozoficznych pojęć.

Dla którego przeciętnego polskiego inteligenta nie będą niespodzianką słowa takie, jak poniższa cytata ze skądinąd popularnej książki katolickiego ks ędza angielskiego, pisującego na tematy filozoficzne?

„Zwykły człowiek wykształcony pojmie istotę filozoficznej metody na podstawie tego, co wie o matematyce. Gdy rozwija on teoremat geometryczny, umysł jego obraca się w sferze czystej abstrakcji, w której doświadczenie służy tylko jako odskocznia dla koncepcji, a nie jako źródło wniosku. To dlatego, że w matematyce umysł może bezpośrednio ująć związek między abstrakcjami, rozumowanie matematyczne jest nacechowane taką precyzją i pewnością. Tak samo rzecz się ma z rozumowaniem filozoficznym; metoda f lozofa jest w swej istocie ta sama, co metoda matematyka, choć filozof operuje na głębszym poziomie abstrakcji i ma często do czynienia... z kwestiami, skomplikowanymi przez ludzkie namiętności. Ale gdy osiągnięty zostanie rzeczyw sty wniosek filozoficzny, jest on ścisły, pewny i wolny od zmienności mniej uprzywilejowanych typów myślenia". (D. J. B. Hawkins, „The Essentials of Theism", London, Sheed and Ward, 1949, cena 7/6, str. 13).

Każdy nowoczesny człowiek jest oswojony z matematyką, gdyż bez matematyki nie ma nowoczesnej techniki. Ale w istoc e — matematyka jest zjawiskiem niezależnym od materii. Dwa razy dwa równałoby się czterem nawet wówczas, gdyby świat materialny w ogóle nie istniał. Dwa razy dwa anioły, czy dwie myśli, czy dwa grzechy, to zawsze będzie cztery. Otóż nie tylko matematyka jest prawdą i rzeczywistością, niezbicie istniejącą poza sferą samego tylko świata materialnego. Czy na przykład pojęcie dobra nie jest obiektywną rzeczywistością, istniejącą poza i ponad światem materii?

Filozofia, która twierdzi, jak komunizm, że nie ma nic prócz materii, względnie, że wszystko się z materii wywodzi, sprzeciwia się zdrowemu rozsądkowi. Doktryna, która głosi, że dobro jest funkcją jakiegoś materialnego interesu, jest doktryną nie tylko zabójczą moraln.e, lecz także wywracającą do góry nogami rzeczywistość.

Czymże jest człowiek z punktu widzenia materialnego? Jest pyłkiem na powierzchni niedużej planety, która sama jest pyłkiem we wszechświecie. Czy naprawdę człowiek jest takim pyłk em? Ten pyłek może ogarnąć cały wszechświat całkiem sprawnym narzędziem, mianowicie — myślą. Gdzież tu porównywać człowieka ze zwierzęciem, które jest do niego materialnie tak podobne!

Oczywiście, można przyjąć, że wszystko jest względne i że dwa razy dwa to niekoniecznie jest cztery, ale że to także może być p.ęć, albo trzynaście. Ale jeśli się zaufa logice umysłu i przyjmie jako pewnik pewne prawdy podstawowe — pewne prawdy, które tak jasno sformułował św. Tomasz z Akwinu — to się z nich z logiczną ścisłością wywiedzie, że istnieje Bóg. I wszystk e wynikające z tego konsekwencje. (Jako popularny wykład na ten temat patrz na przykład: G. E. Ekbery „First Principles of Understanding". The Aquinas Society of London, Aquinas Paper Nr 10, Blackfriars 1949, cena 1/6).

Ale co o tym wszystkim wie ktoś, kto zna tylko swoje rzemiosło? Choćby to było rzemiosło na poziomie uniwersyteckim, zawróci mu w głowie każda materialistyczna broszurka.

Potrzeba nam jest więcej myślenia! Większego rozpowszechniania wiedzy filozoficznej, więcej popularnych i nie popularnych książek i artykułów filozoficznych, więcej czytania, więcej głębszych filozoficznych i religijnych zainteresowań.

Bo atakuje nas wróg — który przyjął sobie za narzędzie myśl pseudofilozoficzną. Walka z komunizmem toczy się w dużym stopniu na polu myślenia. Co z tego, że myśl nasza jest prawdą, a ich myśl jest kłamstwem, skoro naszej własnej prawdy nie znamy? Zwycięża na wojnie czołg w polu — a nie czołg schowany w szopie.

POLONUS

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

DROGA KRZYŻOWA

STACJA PIERWSZA

Oto proces sądowy w miejscu, co zwie się Gabbata,
Jeden z tych procesów, których wiele będzie w historii świata.
Potem przyjdzie pasterka Joanna, i kardynał Mindszenty,
I arcybiskup Cieplak, i tysiące sądzonych świętych.
Teraz jest — Bóg, stojący przed człowiekiem, którego stworzył,
Czekający na wyrok człowieka, za którego życie położył.
Patrzą oczy łez pełne na tłum, co się zebrał koliście:
Żywot patrzy w twarz śmierci, Miłość — w twarz nienawiść.
Ukrzyżuj Go! — woła tłuszcza. I milczy trędowaty,
Co padł Mu do nóg z podzięką przed dwoma niespełna laty,
I milczy paralityk, cudownie uzdrowiony,
Kilka miesięcy temu przez dach do bóżnicy spuszczony,
Milczą ci, którzy z Naim szli za młodzieńca pogrzebem,
I owych pięć tysięcy, nakarmionych rybą i chlebem.
I my milczymy także, nieszczęśliwi współcześni
O tępych oczach i sercach pełnych zastałej pleśni.
Nie życzymy Mu śmierci, lecz niech zostanie milczący
Tam, gdzie stanął przed sądem lat temu dwa tysiące.
My mamy inne sprawy, wojny, triumfy i klęski —
I, zaprawdę, cóż nam i Tobie, Jezusie Nazareński?
My na publicznych arenach ekonomii czy polityki
To umywamy ręce, to przeliczamy srebrniki,
To na nocnych obradach rozdzieramy obłudnie szaty —
I nawet nie mamy czasu obejrzeć się w stronę Gabbaty.

O Zbawicielu zdradzony! daj nam — tym światem zatrutym —
Gorącą purpurę wstydu i ostre ciernie pokuty.
I za tę godzinę sądu w dziejach rodzaju ludzkiego
Racz nas nie karać w godzinę Sądu Ostatecznego.

STACJA DRUGA

Teraz, gdy wyrok wydany i zakonczona rozprawa,
Wszystko się dalej dziać musi według przepisów prawa.
Więc na plecy ubiczowane i pochylone ramiona
Kładą dwa na krzyż zbite, ciężkie sękate bierwiona.
Drzewo, które Bóg stworzył, by nad człowieka głową
Cienisty liść zwieszało i złoty soczysty owoc,
Aby było przeciw słocie osłoną, przeciw wichurze — pomocą,
Aby przez jego gałęzie sypały się gwiazdy nocą, —
To, drzewo z kory odarte i przerąbane na ćwierci,
Martwe od grzechów śmiertelnych — ma stać się narzędziem śmierci.
W twardych włóknach stężały wszystkie wieki i lata
Od bratobójstwa Kaina po zbrodnię ostatnią świata
I od chwili, kiedy to drzewo zbolałych bark dotyka,
Każdy grzech jest krzyżem Jezusa, a krzyż zbawieniem grzesznika.
Ożywa umarłe drzewo, rośnie w potęgę promienną,
Kiedy krwią Boga nasiąka od ran pod opończą płócienną
I, w żywy znak uświęcone w najmniejszej włókien kruszynce,
Woła do ludzkości zwątpiałej: In hoc signo vinces!

O Krzyżu święty! Niech będzie ta chwila błogosławiona,
Ilekroć z ramion Jezusa na nasze się zsuniesz ramiona,
Abyśmy pojęli naukę, co dotąd jest niepojętą
Że po to człowiek krzyż dźwiga, aby krzyż go podźwignął w świętość.

STACJA TRZECIA

Wybucha śmiechem tłuszcza, zebrana u bram ratusza,
Gdy Bóg ciągnięty na sznurze w Drogę Krzyżową wyrusza.
Dygoczą słabnące kolana i grzbiet się chyli wciąż niżej
I po raz pierwszy Jezus upada pod swym krzyżem.
Cóż może myśleć Człowiek, który twarz ma przygniecioną do piachu?
I bolesny ciężar na plecach i serce pełne przestrachu?
I cóż Bóg może myśleć, który zeszedł z rajskich przestworzy,
Aby sercem przywrzeć pokornie do ziemi, którą stworzył?
Cóż może myśleć Miłość, co nam upadła pod nogi,
Gdy patrzymy na to wzdychając, stojący u skraju drogi?
My, co dalecy od zbrodni i od win grozą brzemiennych,
Grzebiemy się jak robaki w miałkim pyle grzechów codziennych,
W niewściągliwości języka i w myśli nieuczciwości,
My, co się niby ognia lękamy doskonałości,
Którym letniość za żar wystarcza, za czyn — odmawianie pacierza,
To myśmy Go powalili, aby w pyle jak robak leżał!

O Jezu! wyprowadź nas w świętość z pyłu dróg poślednich,
Przez Twój pierwszy upadek pod krzyżem zbaw nas od grzechów powszednich.

STACJA CZWARTA

Prawo, które człowiek ułożył (o hańbo ludzkości! o wstydzie!)
Pozwala Matce pożegnać Syna, co na śmierć idzie.
Bo prawo, kiedy się staje humanitarnym i miękkim,
To nawet wtedy umie nową mękę przydać do Męki.
Przystanął tłum ciekawy gapiów i ulicznych nędzarzy,
Kiedy się zbliża Maryja bez tchu, bez kropli krwi w twarzy.
Zanim pod krzyżem się stanie Matką nad całym światem,
Staje się Matką Bolesną wszystkich bolesnych matek:
Tych, co od początku świata aż do ostatnich stuleci
Patrzały i będą patrzeć na mrące w kołyskach dzieci;
Tych, co po latach tęsknoty i długich nocnych pacierzy
Dostały wiadomość o śmierci dalekich synów-żołnierzy;
Tych, co osztywniałe od grozy, mdlejące od żałości
Otrzymały przesyłkę pocztową — garstkę spalonych kości;
Tych, co grzebały mogiłę dla zmarłego z głodu jedynaka,
Tych, co dotąd szukają grobu, gdzie by się mogły wypłakać.
Wszystkie ich słowa rozpaczy, jęki bólu i łzy wylane
Napełniają w tej chwili Maryi Serce Niepokalane,
Co, cierpiąc za wszystkie matki w milczeniu i pokorze,
Uświęca ich cierpienia swym poddaniem się woli Bożej.
A Syn, który jest Bogiem w Trójcy, widzi Matkę Wniebowziętą w chwale.
I Syn, który jest Człowiekiem, płacze nad Matką z żalem.

Jezu, przez Twą boleść synowską, spraw, by rządzący tym światem,
Co z matek życie biorą, nie byli okrutni dla matek.

STACJA PIĄTA

Zawołano Szymona z Cyreny, idącego drogą w pobliżu,
Bo nie wolno umierać z wyczerpania, kiedy się ma umrzeć na krzyżu.
I oto z całej ludzkości — w odkupieniu z grzechów niewoli
Jeden tylko człowiek wziął udział, a i to poniewoli,
Niechętny i pochmurny wychodzi z dokolnej rzeszy.
Trzebaż było spotkać ten orszak, teraz gdy do domu się śpieszy!
Gdy po pracy siadłby przy stole, gdzie kubek z winem czerwonym
I gorący jęczmienny podpłomyk, podany ręką żony.
Bierze krzyż żylastymi, mocnymi rękami robotnika
I, niedbale odsuwając Skazańca, nagle Jego spojrzenie spotyka.
Ach, to na ludzkość całą, na idących Cyrenejczyków,
Przymuszonych do niesienia krzyża niechętnych pomocników,
Których ogarnia gniewu i buntu gorąca pokusa,
Patrzą pełne miłości i wdzięczności oczy Jezusa.

O Jezu! daj nam czujność, abyśmy idąc drogą,
Bezmyślnie i bezdusznie nie omijali nikogo.
Bo może ten przechodzień, od którego odwracamy spojrzenie,
To — Ty, drżący z wysiłku pod ciężkiego krzyża brzemieniem.

STACJA SZÓSTA

Dla męstwa Maryi — został niewieści lęk przezwyciężon
I większa odwaga jest dana niewiastom niźli mężom.
Bo oto Weronika przez żołdaków tłum się przedziera
I zdjętą z głowy chustką Jezusa twarz ociera.
Odsuńmy od siebie codzienność, zgiełk słów i tok wydarzeń,
Zamknijmy oczy i myślmy o tej bolesnej Twarzy
Spod cierni krew się sączy, zasycha w czarne smugi,
I sińce opuchnięte, i łzy, i potu strugi,
I rozmazane błoto, i krwawe zadrapania,
I pręgi fioletowe, i świeże ślady oplwania.
Oto, co umieją uczynić okrutne ręce ludzkości,
Wzniesione z otchłani nienawiści przeciw otchłani Miłości.
My, co w lustrach codziennie muskamy nasze twarze,
Stroskani, jeśli się na nich nowa zmarszczka ukaże, —
Jakże jesteśmy daleko myślą i sercem pustym
Od tej Twarzy, otartej rąbkiem białej płóciennej chusty!
I jakże z tej bezduszności, wpatrzonej w siebie i błogiej,
Pójdziemy kiedyś, by stanąć twarzą w twarz przed Bogiem?
Niech będą zadośćuczynieniem mogiły i cmentarze,
Gdzie czarna wilgoć grobowa oszpeca ludzkie twarze,
Aż z próżności ziemskiej otarte, wyzbyte z płochej pogody,
Zajaśnieją po zmartwychwstaniu blaskiem wieczystej pogody.

O Jezu! daj naszym duszom czystość bieli dziewiczej,
By się na nich jak na chuście Weroniki odbiło Twoje Oblicze.



Marian Kratochwil

STACJA SIÓDMA

Niezliczone są na drodze kamienie, oślizgłe ulicznym błotem,
Jak niezliczone uparte człowieka do grzechu powroty.
Potykają się stopy mdlejące, sercem niemoc owłada
I Jezus po raz drugi pod ciężkim krzyżem upada.
Kopie Go straż zagniewana, i smaga pletnią rzemienną,
A w Nim już dech ustaje i w oczach śmiertelna ciemność.
To ciemność zbrodni ponurych, co ziemię zalega dokoła,
I piekło otwiera na oścież, i o pomstę do nieba woła;
To mroczne skrzydła buntu i pychy przeciw Bogu,
To czarne szpony, wbite w kamienną tablicę Dekalogu
To siedmioma grzechami głównymi ociemniała dusza skrzydlata,
Co pełznąc składa hołdy przed księciem tego świata,
To odpryśnięta od Boga światłość, co ginie w ciemności,
To życie, zepchnięte w otchłań niebytu i nicości,
To śmierć duchowa, która nad Łaskę przekleństwo wolała
I czarną się pleśnią rozkłada w pobielanym grobowcu ciała.

O Jezu! nas, co idziemy w ciemność czeluści piekielnych,
Przez Twój drugi upadek pod krzyżem wybaw od grzechów śmiertelnych.

STACJA ÓSMA

Płaczą w głos nad Jezusem córki jerozolimskie,
A nikt ich nie odpędza i milczą straże rzymskie.
Bo znów dla Błogosławionej pomiędzy niewiastami
Niewiastom dane pierwszeństwo przed trwożliwymi uczniami.
A Bóg spod krzyża przemawia wargami od bólu wyschłymi:
Nie nade Mną płaczcie, lecz nad sobą i nad synami waszymi!
Bo ponad Mękę samą i nad krzyż, Męki godło,
To godniejsze opłakiwania, co do tej Męki przywiodło.
Nie myśli o sobie Jezus, poniżony i ranami skłuty,
Lecz, oddany cały Odkupieniu, prosi o współudział pokuty.
Od tej chwili nad każdym grzesznikiem, płaczącym gorzkim żalem,
Będzie mówił: Ego te absolvo! — w każdym konfesjonale
I, pochylony litośnie nad każdym rachunkiem sumienia,
Będzie żal ciemny w świetlisty Sakrament pokuty zamieniał
I ze słabości pod krzyżem, z bezsilności Swych ramion krwawych
Wydobędzie dla grzesznika potężną, wspierającą łaskę poprawy.
Na tym padole płaczu, gdzie nie ustaje lament,
Jakże niewiele łez z oczu wyciska pokuty Sakrament!
A przecie, by winy ziemi odpłakać w obliczu Nieba,
Nieustannego łkania i oceanu łez trzeba,
I brózd od płaczu wyrytych jak na twarzy świętego Piotra,
I serc skruszonych jak serce żałującego łotra.

O Jezu, daj, byśmy do końca życia płakali nad naszą złością,
I nad synów naszych winami, i nad całą grzeszną ludzkością.

STACJA DZIEWIĄTA

Wije się droga stroma w nagłe zakręty i zwroty
I coraz trudniej się stopom wspinać na zbocze Golgoty.
I coraz większy ciężar i ból ramiona gniecie
I Jezus pod krzyżem zbawienia upada po raz trzeci.
Jakiż to grzech Go powalił na szlak skalisty i twardy?
To rzucony na Jego Mękę kamień niewiary i wzgardy;
To po raz pierwszy w Serce wbijana ostra włócznia;
To pętający Mu nogi sznur wisielczy zdradliwego ucznia.
To grzech przeciw Duchowi Świętemu, przeciw Duchowi Miłości,
Co na największego zbrodniarza czeka z pociechą ufności;
To przeciw Parakletowi wstający demon zwątpienia,
Co się od Krzyża odwraca i depcze Krew Odkupienia.
To człowiek, co łaskę ostatnią utopił w rozpaczy powodzi
I, zaprawdę, lepiej takiemu, iżby się był nie narodził!
Jakże zachłanna jest Miłość, jeśli ten, co przed nią ucieka,
Popełnia najstraszliwszy, największy grzech człowieka!
I tak jest bezgraniczna w nieustannej żądzy przebaczenia,
Że Bóg, co dał nam ją poznać w Najświętszej Ofierze Odkupienia,
Jeszcze nie poznany jej bezmiar skrywa w zaświatów błękicie,
Abyśmy nie znieważali Miłości swym nadużyciem.

O Jezu, konający z miłości pod nogami bezlitosnych siepaczy!
Przez Twój trzeci upadek pod krzyżem broń nas od grzechu rozpaczy.

STACJA DZIESIĄTA

Teraz u kresu drogi, nim Bóg będzie do krzyża przygwożdżony,
Nadeszła nasza godzina, wiarołomni mężowie i żony,
Gorszyciele i cudzołóżcy, ulegający w pokusach, —
To my teraz zdzieramy okrwawione szaty z Jezusa.
My, co winem pijani, znieczuleni na upadek i winę,
To my Mu podajemy mirrę zmieszaną z winem.
My, którym przy Chrzcie świętym dano białą lilię niewinności,
Cośmy uczynili z tym kwiatem, pełnym wszelakiej wonności?
Oto ostatnie płatki wicher połamał i stargał
I ostatni listek zerwany niepogoda bruka i szarga.
A przecie ta lilia nam była podana z tym przeznaczeniem,
Aby kiedyś była wpleciona w naszej świętości wieniec.
I chociaż byśmy wszystkimi cnotami czoła kwiecili,
Jakże wejdziemy do nieba bez kielicha śnieżystej lilii?

O Jezu, z szat zewleczony, Jezu, stojący w nagości,
Przez najświętszą czystość Twego Ciała wybaw nas od ducha nieczystości.

STACJA JEDENASTA

Teraz w obliczu niebios i przerażonego wszechświata
Rozgłośnie i pośpiesznie młot pracowity kołata,
Rozlegają się stukania echem wśród milczenia tłumu i ciszy
I Maryja, stojąca z dala, każde młota uderzenie słyszy.
To się spełnia proroctwo Dawida, to ćwiekami przebodli morderce
Ręce i nogi Jezusa i Jego Matki Serce.
A potem krzyż podnoszą, każda rana się krwawo rozdziera.
Taki jest Mąż Boleści, co za grzechy świata umiera.
A potem krzyż umacniają w skalistej góry łonie.
Taki jest Król Miłości na czarnym krzyża tronie.
I takim już pozostanie od krańca ziemi do krańca:
W krucyfiksie, w krzyżu przydrożnym, w małym krzyżyku różańca.
I takim już pozostanie nad światem i nad wiekami,
Codziennie w białej Hostii wznoszony kapłanów rękami.
A chwila się staje tak niema i dojmująca, że słychać
Krwi krople, co kapią na skałę jak na dno mszalnego kielicha.

O Jezu! Weź pod Twe stopy, co się ranami rozdarły
Z serc miłujących podnóżek, aby się na nim oparły!
O Jezu! daj nam tak przylgnąć w Twych ramion bolesnym rozpięciu,
Byś je musiał od krzyża oderwać, aby nas zamknąć w objęciu.

STACJA DWUNASTA

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.
Oto pieczęć pieczętująca Stary i Nowy Testament.
Oto od wieków przejrzana całopalna ofiara Abrahama
I na Ewangelii zbawienia położył krzyż Nowego Adama.
Oddech się rwie. Mrok idzie. Pierś się boleśnie rozszerza.
Krzyż między doczesność i wieczność wbity jak słup Przymierza.
Odpuść im, Ojcze... Tchu braknie. Krew z rąk po biodrach ścieka.
Oto jest Matka Twoja... Matka każdego człowieka.
Chmury jak otchłań nocy. Grom z czarnej błyska czeluści.
Boże mój, Boże mój, czemużeś Mnie opuścił...
Ziemia się trzęsie od grozy i mrok się czyni na niebie.
Bóg, szalony z miłości, mękę piekła bierze na Siebie.
Usta spalone i wyschłe. Oczy mierzchnące w pomroce.
Pragnę... Woda jest dla człowieka. Dla Boża — żółć i ocet.
Serce od mdłości zamiera. Noc idzie i czas dobiega.
I w krwawy węzeł krzyża związana jest Alfa i Omega.
Consummatum est... I żołnierz starannie włócznię otarł.
I śmierć uklękła pod stopy Wiekuistego Żywota.

O Jezu! daj nam przez Twe Ciała i Krwi Sakrament
Życie — teraz i zawsze i w godzinę śmierci naszej. Amen.

STACJA TRZYNASTA

Matce, co Swe Dzieciątko trzymała na kolanach,
Znów na kolana składają zdjętego z krzyża Pana.
Tak niedawno był szczebiot dziecięcy i cyprysowa kołyska,
A teraz, Matko Bolesna, każdą ranę oglądaj z bliska.
Teraz już Twoje jest Ciało sine i na wskroś rozdarte
I tuż przy Twoim Sercu leży Serce włócznią otwarte.
Wyniszczone, do dna wyciekłe ostatnią krwawą strugą,
Byśmy poznali wysokość, i głębokość, i szerokość, i długość,
I wszystkie nieskończone, nieprzeliczone wymiary
Miłości, co wszelką wiedzę przewyższa i nie ma miary.
Byśmy przez Serce Syna wielbili Cię, Ojcze Niepojęty,
Qui Unigenitum Tuum in Cruce pendentem
Lancea militis — transfigi voluisti,
Aby w Nim nie została skryta ani kropla Miłości czystej.
Lecz nas, co nie znamy miłości, a tylko letniość kochania,
Jeszcze nie wstrząsa do głębi to Serce pełne oddania
I Jezus nas musi przyzywać w objawieniach świętej Małgorzaty,
By niezdolnych dawać miłość za Miłość — skłonić do niej obietnicą zapłaty.

O Jezu, co miast słusznej pogardy dajesz nam Twe Serce Najsłodsze,
Pozwól nam przez Serce Maryi do Twego Serca dotrzeć.

STACJA CZTERNASTA

Wykopaliśmy grób dla Ciebie pod skały kamiennym progiem.
Wszystko skończone. W grobie nie możesz już być Bogiem.
Oto całuny i chusty i przewiązki należne żałobie,
Leżysz w ziemi, jak wszyscy ludzie przed Tobą i po Tobie.
W pustce nocnej bieleje mogiła, straż czujna chodzi blisko.
I nie wie nikt, że grób ten jest Wiecznego Życia kołyską.
Bóg Żywy pogrzebnym obrzędom poddał się do ostatka
I nie wierzy nikt w Zmartwychwstanie, tylko Najświętsza Matka.
I oto rany zsiniałe światłością się zapaliły,
Gorzeją blaskiem zwycięstwa. I w głębi skalnej mogiły
Wystrzeliły skrzydła anielskie, kwiat białej lilii wybujał
I gdzieś wysoko w niebie ktoś śpiewa: Alleluja!

O Jezu, w grobie leżący! z mogilnej grzechów otchłani,
Z milczącej śmierci ducha — wywiedź nas w Zmartwychwstanie!

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

FELIKS FRANKOWSKI

ZAGADNIENIA ASTRONAUTYKI: PODRÓŻ NA KSIĘŻYC

Czy zbliżamy się istotnie do epoki podróży międzyplanetarnych? Czy rzeczywiście, jak zapowiadają niektórzy, optymistycznie usposobieni fachowcy, wielu spośród żyjącego dziś pokolenia doczeka się realizacji pierwszego lotu poza sferę ziemi?

Zdania autorytetów naukowych są co do tego podzielone. Toteż odpowiedź na te pytania nasuwać nam może dziś jeszcze raczej przeczucie i rozumowanie oparte na prawdopodobieństwie, a **nie ścisłe obliczenie.**

STARE JAK ŚWIAT MARZENIA SPEŁNIAJĄ SIĘ

O podróżach w przestworza marzyli ludzie od chwili, gdy wzniósłszy oczy w górę, zaczęli obserwować bieg słońca, księżyca i gwiazdami usiany firmament. Życiodajne słońce, jako bryła ognista, choć wzbudzało zawsze najwięcej podziwu i zachwytu, nie mogło być celem wyśnionej podróży. Natomiast srebrny blask melancholijnego i łagodnego księżyca był źródłem najbardziej rozpowszechnionych w ciągu wieków porywów i tęsknot dusz, spragnionych wzniesienia się ponad ziemię. O tym jak popularna była w wyobraźni ludzkiej myśl lotu na księżyc, świadczą niezliczone odmiany tego tematu w legendzie, baśni, gusłach i prymitywnych wierzeniach ludowych, jak również później — i w twórczości literackiej. Jaka olbrzymia ilość czarownic dotarła na sierp księżyca... na miotle, zanim zabrać się było można do naukowych badań i przygotowań lotu stratosferycznego!

Stwierdzeń tych nie należy jednak uważać za wodę na młyn sceptyków, jeżeli się zważy, że od powstania mitu Ikara do pierwszych wzlotów Montgolfiera, a potem Santos Dumonta, braci Wrightów, Lathama i Bleriota upłynęło nie mniej niż lat trzy tysiące! A jednak przyszła chwila, gdy człowiek wynalazł sposoby, by na skrzydłach poszybować w powietrze. Nie należy więc wykluczać, że taki sam rozwój techniki pozwoli na zrealizowanie, wcześniej czy później, starego jak świat pragnienia, by móc wylądować na księżycu, a następnie na innej, pokrewnej ziemi, planecie; by wreszcie dotrzeć kiedyś do planet dalekich systemów gwiaździstych.

NAUKOWE SPEKULACJE NA FUNDAMENCIE TECHNIKI

Co może świadczyć, że zbliżamy si obecnie w tej mierze do moment przełomowego? Przede wszystkim to, że ludzkość zupełnie opanowała drogi powietrzne i rozwój aeronautyki, a potem lotnictwa, umożliwiło podróże ponad ziemią. Ostatnio rozwinęła się nadzwyczajnie technika wyrzucania pocisków-rakiet na wielkie wysokości. Wreszcie wyzwolenie nowych, potężnych zasobów energii przez rozbicie atomu, pozwala nam brać pod uwagę możliwość nadania bryłom materii zawrotnych szybkości i długotrwałego ruchu na olbrzymich odległościach. W ten sposób zagadnienie lotów poza sferę ziemi może już stanowić przedmiot prawdopodobnych naukowych spekulacyj i konkretnych przygotowań, w oparciu o epokowe osiągnięcia fizyki, chemii, nauk matematycznych i przyrodniczych i w ogóle nowoczesnej techniki. Wielkie znaczenie może mieć również w tym względzie młoda jeszcze, lecz obiecująca nauka pomocnicza astronomii — meteorologia. Zważywszy to wszystko, możemy stwierdzić, że planowanie lotów międzyplanetarnych wyszło już poza zakres genialnych przeczuć Jules Verne'a i, że teraz szybko już zbliżamy się do rozstrzygnięcia pytania, czy rzeczywiście stanie się możliwe i w jaki sposób rozszerzenie ram naszego życia poza sferę ziemi, na dalsze przestrzenie wszechświata.

PRZYCZYNY UCIECZKI Z ZIEMI

Niezależnie od technicznych możliwości podróży kosmicznych, warto się również zastanowić nad tym, jakie są przyczyny tego zainteresowania astronautyką?

Oczywiście gra tu rolę wrodzone człowiekowi dążenie do coraz lepszego poznania i coraz większego opanowania świata materii. Istnieją jednak też przyczyny szczególne skłaniające do poszukiwania rozwiązania poza sferą ziemi. Nasuwają się tu dwie hipotezy. Przypuśćmy, że nie będzie wojny atomowej i że na ziemi zapanuje trwały pokój, co za sobą pociągnie znaczny wzrost ludności. Wkrótce może stać się tak ciasno na ziemi, że skok w przestworza będzie jedynym wyjściem z sytuacji, jedynym ratunkiem. Co prawda niektórzy demografowie są zdania, że proces przyrostu naturalnego ludzkości ma swoje granice, poza którymi ilość urodzeń ustabilizuje się; np. w niedawno wydanym w Ameryce dziele pp. Woytyńskich pt. „Ludność świata i jego zasoby", fantastyczny wzrost ludności na ziemi w ostatnich czasach uważają oni za objaw sporadyczny, a ich zdaniem zaludnienie ziemi pod koniec obecnego wieku nie powinno przekroczyć 3.250 milionów.

Tym niemniej, nawet gdyby te przewidywania były słuszne, „ciasnota" na ziemi może nastąpić jako skutek ciągłego dążenia wielkich mas ludzkich do coraz to wyższego poziomu życia. Weźmy np. kraje tzw. mało rozwinięte; w Chinach dochód narodowy na głowę ludności wynosi poniżej 74 dolarów (ta cyfra odnosi się do Pakistanu); w Stanach Zjednoczonych A. P. — 1.525 dolarów na głowę. Gdyby więc Chińczycy i inne narody rasy żółtej, oraz w ogóle inne narody ubogie, zapragnęły żyć na stopie obywatela Stanów Zjednoczonych, to w pogoni za zaspokojeniem potrzeb w tej skali, skok z ziemi w przestworza, stałby się zapewne absolutną koniecznością.

NOWY APARAT

Weźmy pod uwagę i inną jeszcze możliwość. Nie można wykluczyć, że w skutek długotrwałych walk atomowych warunki na ziemi mogą stać się mniej korzystne dla życia ludzkiego, niż są one obecnie, albo że staną się wręcz niedogodne. Trzeba więc będzie próbować zbudować nową arkę lub nowe arki Noego, by zapewnić wyjazd ludzkości na inne planety, by tam mogła próbować szczęścia. — Do takich ewentualności ludzkość przygotowuje się, wypatrując na niebie sylwetki nowego Araratu. Ustalenie dróg do tego nowego Araratu było zawsze zadaniem astronomii i nauk z nią złączonych: na technologię innych nauk o materii spada obowiązek wybudowania statku-pojazdu, który by człowieka mógł przenieść na inne ciała niebieskie — otwierając w ten sposób komunikację międzyplanetarną czyli astronautykę.

ASTRO- LUB KOSMONAUTYKA

W wielu krajach istnieją już obecnie ośrodki zajmujące się naukowo i praktycznie zagadnieniem astronautyki Nie wszystkie jednak informacje o tych pracach przenikają do szerokiej publiczności, bo przyszłość astronautyki jest ściśle związana ze studiami nad rakietami i nad zastosowaniem siły atomowej, a obydwie te dziedziny kontrolowane są przez władze kierujące polityką zbrojeń. Musimy więc zadowolić się tymi informacjami, jakie publikują instytucje ściśle naukowe lub badacze zagadnień astronautyki.

W Wielkiej Brytanii istnieje od szeregu lat „Brytyjskie Towarzystwo Międzyplanetarne", które wydaje swój periodyk p.n. „Journal of the British Interplanetary Society". W Stanach Zjednoczonych oraz we Francji i w innych krajach kontynentu europejskiego istnieją podobne organizacje. Zainteresowanie astronautyką zawsze było żywe w Niemczech, gdzie, jak wiadomo, osiągnięto też pierwsze rezultaty w dziedzinie rakiet-pocisków kierowanych, a w Rosji Sowieckiej istnieje przy „Aeroklubie" specjalna „Sekcja astronautyki".

W Polsce miesięcznik popularno-naukowy „Problemy" wydrukował w roku zeszłym (w numerze listopadowym) szereg artykułów żywo i interesująco napisanych — o zagadnieniu komunikacji międzyplanetarnej. W opracowaniach tych wysuwana jest myśl utworzenia „Polskiego Towarzystwa Astronautycznego" czy też „Kosmonautycznego".

Światowa literatura astronautyczna jest dziś już dość pokaźna; na podstawie tej literatury, o charakterze na ogół popularyzacyjnym w wykładni dostępnej dla nie-technika, można sobie ułożyć w najogólniejszym zarysie, następujący obraz prowadzonych obecnie studiów i doświadczeń astronautycznych: —

ZAGADNIENIA PODSTAWOWE: RAKIETA WIELOSTOPNIOWA

Podstawowym zagadnieniem jest przede wszystkim zbudowanie takiego aparatu, który by mógł oderwać się całkowicie od sfery ziemi, tj. dolecieć do sfery, w której oddziaływanie siły przyciągania ziemskiego mogłoby być równoważone czy pokonane przez siły przyciągania innych mas astralnych, lub może siły inne niż grawitacyjne, co umożliwiłoby statkowi astralnemu poruszanie się jak gdyby w „próżni". Pojęcie „próżni" jest oczywiście fikcją, oznaczającą przestrzeń, w której nie działają opory pochodzące z ziemi lub istniejące w atmosferze ziemskiej. Obecnie przeważa pogląd, że rozwiązania dla lotów astralnych należy poszukiwać na drodze budowy nie samolotów, lecz odpowiednio skonstruowanych pocisków-rakiet, mianowicie rakiet „wielostopniowych".

Rakieta bowiem uzyskać może, już w chwili jej wystrzelenia impuls ogromnej siły, który pozwala zaoszczędzić jej własne możliwości napędowe dla dalszego biegu: Wielokrotna rakieta składać się może z kilku połączonych rakiet, które kolejno zaczynają działać w ciągu lotu. Gdy na pewnej wysokości możliwości napędowe pierwszej rakiety się kończą, oddziela się ona od całości masy i odpada, a rozpoczyna działanie druga rakieta, następnie trzecia itd., przy czym, działając na coraz to większych wysokościach, każda następna rakieta ma do przezwyciężenia coraz mniej oporów. Jeżeli chodzi o rakiety astronautyczne, a w szczególności mające przewozić ludzi, to nie byłoby wskazane nadawanie im od razu maksymum osiągalnej szybkości, jak jest to pożądane dla rakiety-bomby. Ze względu na długi czas podróży rakiety astronomicznej i życie jej nawigatorów, należy raczej starać się o równomierność i długotrwałość kolejnych impulsów. Doświadczenia w tej dziedzinie dały bardzo przekonywujące rezultaty. Oto klasyczny przykład, cytowany przez wielu autorów. W 1949 r. połączono dwie rakiety: jedną typu niemieckiego A-4 (czy V-2), a drugą tzw. „Wac-Corporal". Wystrzelona z ziemi, odrębnie biorąc, pierwsza z nich mogła osiągnąć wysokość około 180 km, a druga tylko 70 km. Tymczasem oderwawszy się od rakiety-matki już na wysokości 30 km, rakieta druga wzniosła się wobec zmniejszenia oporu na około 400 km! Na podstawie tego doświadczenia sądzić można, że łańcuch podobnych impulsów będzie mógł kiedyś wyrzucić wielokrotną rakietę poza sferę ziemi.

Jak wspomnieliśmy, dotychczas nie istniały dość potężne źródła energii i silniki mogące nadać rakiecie astronautycznej dostatecznie długotrwałe impulsy i niezbędne szybkości. Dopiero wyzwolenie energii atomowej i wynalazek silnika odrzutowego mogącego w zasadzie zapewniać ruch w „próżni", daje widoki, przynajmniej w teorii, technicznego rozwiązania tych trudności.

SZTUCZNY KSIĘŻYC

W każdym jednak razie podróż rakiety kosmicznej byłaby znacznie ułatwiona, gdyby odbywać się mogła etapami. Dlatego w świecie badaczy astronautyki często rozważa się zagadnienie tzw. sztucznego księżyca. Wyrzucona na konieczną wysokość masa materiału zaczęłaby poruszać się po własnej orbicie wokół ziemi, jak czyni to księżyc. Ten zbudowany rękami ludzkimi, „sztuczny satelita" stałby się bazą lotniczą i stacją naukowo-obserwacyjną; posiadałby urządzenia do startowania pojazdów kosmicznych, warsztaty naprawcze, magazyny paliwa itd. Miałby on zapewne kształt grubego koła, którego brzegi stanowiłyby wielkie hangary i izby mieszkalne. Części sztucznego księżyca byłyby wystrzeliwane w powietrze stopniowo i dopiero po osiągnięciu przez nie właściwej pozycji byłyby złączone w całość. Pomysł ten wydaje się być fantastyczny, a jednak mówią o nim zupełnie poważnie wybitni specjaliści astronautyki, opracowując szczegóły takiego przedsięwzięcia.

Zwolennicy projektu sztucznego księżyca wskazują na możliwość zbudowania na nim również urządzeń, które by mogły być bardzo pożyteczne dla życia na ziemi. Np. planują umieszczenie na nim ekranów-luster, które gromadziłyby promienie słońca i następnie skierowywałyby je na części ziemi potrzebujące większego nasłonecznienia. Zmienianoby w ten sposób dowolnie klimat ziemski!

KSZTAŁT RAKIETY KOSMICZNEJ

Kształt i cechy charakterystyczne rakiety kosmicznej są szczegółowo omawiane w publikacjach technicznych. Na ogół przedstawiana jest ona jako długi kadłub w kształcie cygara rozszerzającego się na przodzie, długości około 80 metrów. Na przodzie umieszczono kabiny dla astronautów i aparaty nawigacyjne i obserwacyjne. Środek zajmuje „paliwo" (zapasy uranu czy plutonu), a przy końcu ustawione są reaktory atomowe oraz wylot odrzutowy. Specjalne zagadnienie przedstawia zabezpieczenie, by spadające na ziemię zużyte części wielostopniowej rakiety (wielkie zbiorniki paliwa) nie spowodowały zniszczeń. Projektuje się zaopatrzyć je w spadochrony. Waga rakiety musiałaby być z wielu powodów znaczna. Np. według Gotlanda rakieta księżycowa musiałaby ważyć około 1000 ton.

RYZYKOWNY LOT — NA RAZIE BEZ POWROTU

Przypuśćmy, że wszystkie zagadnienia złączone z wystrzeleniem astro-statku poza sferę ziemi zostałyby rozwiązane i że rakieta przebiłaby się ponad tę wysokość, na której groziło jej niebezpieczeństwo, że stanie się — jak „sztuczny księżyc" — satelitą ziemi, lub że wystartowała ona już z powierzchni „sztucznego księżyca", to jednak dalsza jej podróż wywołuje konieczność wzięcia pod uwagę jeszcze wielu różnorodnych i decydujących problemów.

Dalszy bieg rakiety będzie zależny od działania sił, które napotka ona w sferze międzyplanetarnej. W tej sferze bowiem działają najrozmaitsze siły i prądy i pełna jest ona tych niewidzialnych „drutów kosmicznych", które stanowią o harmonijnym ruchu ciał niebieskich. Nie można być pewnym, czy rakieta nasza nie zostanie pochwycona w wir nieprzewidzianych skrzyżowań różnych sił grawitacyjnych lub nie natrafi na opór elementów atmosfery, całkowicie różnej od ziemskiej, lub czy nie ulegnie zniszczeniu np. na skutek zbombardowania jej przez tzw. pył kosmiczny? Tak samo jest niewiadomą, jak będzie się rozwijała trzecia faza lotu astralnego, to jest włączenie się rakiety kosmicznej do systemu ciała niebieskiego, do którego zmierza i jakie będą warunki lądowania. Nadzieje na pewne podobieństwo do warunków istniejących w systemie ziemi mogą okazać się w tym względzie całkowicie zawodne.

Wreszcie czwartym etapem podróży kosmicznej byłby ewentualny powrót na ziemię. Przyznać trzeba, że rozwiązanie tego zagadnienia, nawet w teorii, jest mało posunięte naprzód. Wydaje się więc, że załogi pierwszych rakiet astronautycznych przerzucone choćby tylko na księżyc, o własnych siłach powrócić na ziemię (gdyby sobie tego życzyły!) nie będą mogły. Dopiero po przewiezieniu tam znacznej ilości ludzi i odpowiedniego materiału, można byłoby ewentualnie liczyć na zorganizowanie lotu powrotnego... Ale dolećmy najpierw do księżyca!

REAKCJE MATERIAŁÓW I ORGANIZMU CZŁOWIEKA

Jeżeli nawet masa (metalowa) rakiety mogłaby wyjść zwycięsko z różnych przygód w ciągu swej podróży w sfery astralne, to nie daje nam to jeszcze pewności, że organizm ludzki okaże równą odporność. Badania na tym polu stanowią ważną część studiów astronautycznych. Punktem wyjścia są osiągnięcia badań jak reagują organizmy żywe w wysokich sferach atmosfery ziemskiej. Dotychczas obserwowano reakcje zwierząt i roślin na wysokości około 200 km. Jednak w miarę oddalania się od ziemi niespodzianki mogą być wielkie. Poza zasięgiem grawitacji ziemskiej, organizmy ludzkie mogłyby tracić swą spoistość ulegać rozkładowi, może rozpływać się. Odpowiedź na te wszystkie ostateczne pytania i wątpliwości dać może tylko doświadczenie, które będzie zdobywane w miarę postępu astronautyki i prób lotów kosmicznych.

GRANICE PRZESTRZENI I CZASU

Jaki program kolejnych zamierzeń można ustalić w dalszym rozwoju astronautyki? Według ogólnej opinii specjalistów, możliwości dotarcia do sfery gwiazd (tj. do planet dalekich systemów astralnych) na razie nie można brać pod uwagę, gdyż odległość do przebycia jest zbyt wielka. Jak wiadomo, szybkość rakiety nie może być większa od szybkości światła, a więc podróż do sfery najbliższych gwiazd trwać by musiała ponad stulecia. Nie mówiąc już o możliwości działania jakiegokolwiek silnika przez tak długi okres czasu i kwestii paliwa, nikt by w ciągu swego życia do celu takiej podróży nie dotarł.

Wyprawy na planety naszego systemu słonecznego, jak Wenus, Mars, Jowisz, trwałyby od 4 do 12 lat... Najbardziej więc realnym celem lotów astralnych pozostaje księżyc. Odległość do niego jest najmniejsza, a ponieważ jest on „satelitą" ziemi, więc warunki kosmiczne w jego sferze mogą być zbliżone do warunków ziemskich.

NA RAZIE SAME HIPOTEZY

Pomimo ogromu nagromadzonej już wiedzy i rozmachu planowania w tej dziedzinie, wszystko w astronautyce budowane jest na hipotezach; nie wiemy nawet, czy rzekomo ścisłe nasze matematyczne obliczenia, np. odległości, wyrażone w pojęciach dla naszej myśli dostępnych, okazałyby się zgodne z rzeczywistością wszechświata. Tak samo możliwości działania maszyny, lub istnienia żywego człowieka w odmiennych środowiskach kosmicznych, mogą okazać się złudzeniem. A w ogóle, czy możemy przykładać do zjawisk sfer astralnych, innych niż sfera, w której żyjemy, kryteria właściwe naszemu życiu na ziemi? Czy dla przeniesienia się na inną planetę nie okazałaby się jeszcze niezbędna długa ewolucja naszych ludzkich organizmów i sił myślowych?

Entuzjaści pełni są wiary w nieograniczone możliwości twórczości ludzkiej. Sceptycy pytają: czy rasie ludzkiej, która tak źle spisuje się na tej ziemi, przeznaczone jest panowanie nad przestworzami wszechświata? Pamiętajmy też o starożytnym podaniu o Olbrzymach, którzy chcieli zdobyć niebo, a których Jowisz pogrzebał w głębokościach ziemi.

W każdym razie, wizja, szybkiej jak błyskawica, rakiety, rozwożącej ludzi po szlakach astralnych, jest nad wyraz pociągająca. Jak długo trzeba będzie pracować, ile ofiar ponieść, by cel ten osiągnąć — nie wiemy. Wiemy natomiast, że jest to cel pociągający i godny największego wysiłku twórczego ducha człowieka.

Feliks Frankowski

NUMER WIELKANOCNY „ŻYCIA" wychodzi jako numer podwójny. Następny numer ukaże się z datą 17 kwietnia 1955.

JERZY ZUBRZYCKI

CZYNNIKI HAMUJĄCE ASYMILACJĘ
POLAKÓW W W. BRYTANII

Problem asymilacji Polaków w Wielkiej Brytanii zajmuje uwagę nie tylko Polaków, ale również i Anglików. Polacy w Kraju i za granicą pragną zdać sobie sprawę z tego, czy Polacy w Anglii przetrwają, jako emigracja polityczna, do chwili powrotu do Kraju, czy też szybko stracą swą świadomość narodową i wchłonięci zostaną przez społeczeństwo tubylcze. Anglicy natomiast interesują się z innego nieco punktu widzenia przyszłością stupięćdziesięciotysięcznej rzeszy Polaków, goszczącej w ich kraju. Wielka Brytania jest krajem bez mniejszości narodowych. To prawda, że w dużych miastach spotyka się duże grupy Irlandczyków, którzy tu przybyli w drugiej połowie 19 wieku; Irlandczycy nie stanowią jednak odrębnej grupy etnicznej, a w mowie i po części w obyczaju podobni są do Brytyjczyków.

Przybycie 150-tysięcznej rzeszy Polaków w latach wojennych i w ciągu kilku lat po zakończeniu wojny da się tylko porównać do imigracji francuskiej Hugenotów, których liczna rzesza, oceniana na 100 tysięcy, przybyła do Anglii na przełomie wieku 16 i 17. Powodem tej imigracji było zniesienie tzw. edyktu Nantejskiego, co zagrażało wolności religijnej francuskich protestantów. Hugenoci zostali szybko wchłonięci przez społeczeństwo angielskie.

Inaczej ma się rzecz z obecną grupą Polaków w Wielkiej Brytanii. Władze angielskie i społeczeństwo nie tają swego uznania dla pracowitości Polaków, z których z górą 2/3 to jest ponad 100 tysięcy stanęło do pracy w przemyśle, na roli, w rzemiośle. Równocześnie jednak Anglicy stwierdzają, że Polacy trzymają się w swej gromadzie i na ogół nie poddają się działaniu procesów asymilacyjnych.

Postarajmy się wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje. Aby na to odpowiedzieć, trzeba zbadać czynniki, które hamują asymilację.

Po pierwsze, należy stwierdzić, że daleko posunięta odporność Polaków wobec procesów asymilacyjnych łączy się z okolicznościami, w których przybyli oni do Anglii. Spośród 150-tysięcznej rzeszy Polaków — z górą 3/4, bo około 120 tysięcy, to żołnierze, którzy służyli w szeregach Armii Polskiej na Zachodzie: lotnicy, marynarze, i ich rodziny. Pozostali, to osoby starsze, kobiety i dzieci ewakuowane z polskich osiedli w Afryce Wschodniej, Libanie i Palestynie gdzie znalazły się po wydostaniu się z Rosji Sowieckiej, w 1942 roku. A wreszcie, spora grupa byłych robotników przymusowych z Niemiec, którym władze brytyjskie ofiarowały pracę w Anglii. Wszystkie te kategorie Polaków należą do licznej rzeszy polskiego uchodźstwa wojennego; wszyscy są członkami emigracji politycznej, a nie tylko zarobkowej. Ich decyzja pozostania za granicą powzięta została w chwili, kiedy tzw. Rząd Jedności Narodowej w Warszawie obiecywał góry złota powracającym do Kraju uchodźcom. Decyzja ta była równoznaczna z protestem przeciwko oddaniu Polski w niewolę Rosji Sowieckiej. W tym węc należy przede wszystkim szukać klucza do rozwiązania odpowiedzi na pytanie, dlaczego proces asymilacji wśród Polaków w Wielkiej Brytanii tak wolno postępuje.

Obok tego czynnika ściśle politycznego, istnieje grupa innych, które by nazwać można czynnikami instytucjonalnymi. Do nich należą trzy wielkie instytucje stworzone przez Polaków na terenie Wielkiej Brytanii. Są to: polskie parafie katolickie, polskie organizacje świeckie i polska prasa.

W ciągu zaledwie kilku lat swego istnienia parafie polskie, w liczbie około stu, zdały doskonale egzamin sprawności. Każda, nawet najmniejsza grupa Polaków, objęta jest działalnością polskich duszpasterzy. W polskich osiedlach i obozach — parafie nadają własny charakter tym skupiskom Polaków, które wybitny socjolog angielski nazwał niedawno temu „wyspami polskości" w morzu angielskim. W większych miastach i okręgach, gdzie Polacy mieszkają prywatnie — parafie polskie, urządzają: nabożeństwa niedzielne, obchody narodowe, zabawy, kursy oświatowe, lekcje katechizmu dla dzieci oraz kursy przedmiotów ojczystych. I to właśnie stanowi trzon, wokół którego skupiają się Polacy rozpaszeni wśród obcych.

Drugim czynnikiem instytucjonalnym są organizacje świeckie, których sieć stara się zaspakajać potrzeby Polaków w dziale opieki, oświaty, rozrywek i zainteresowań politycznych. Dla socjologa badającego te sprawy, istotą zagadnienia jest funkcja społeczna danej organizacji. Weźmy dla przykładu jedną z największych organizacji polskich, jaką jest Stowarzyszenie Polskich Kombatantów. Jeśli przejdziemy wszystkie rodzaje pracy tego stowarzyszenia, to przekonamy się, że działa ono nie tylko jako instytucja opiekuńcza, jako kasa pożyczkowa i organizacja o charakterze oświatowo-kulturalnym, ale że jest również nieoficjalnym polskim konsulatem występującym w imieniu Polaków wobec władz angielskich, wystawiającym dokumenty zastępcze itd. Widzimy więc z tego, że funkcje społeczne organizacji kombatanckich pokrywają się z wieloma potrzebami społeczności polskiej w Anglii zmniejszając w znacznym stopniu potrzebę kontaktu Polaków z instytucjami i organizacjami angielskim. Jest to jeden z bardzo ważnych czynników, spośród tych, które przeciwdziałają asymilacji.

Wolna i niczym nieskrępowana prasa polska w Wielkiej Brytanii doskonale zdaje egzamin w wykonywaniu swej misji politycznej i kulturalnej. Zamiłowanie Polaków w tym kierunku doskonale odzwierciedla powiedzenie byłego ministra informacji w rządzie brytyjskim, Brackena, który podczas ubiegłej wojny, w czasie debaty nad przydziałem papieru w Izbie Gmin powiedział, że gdziekolwiek zejdzie się co najmniej trzech Polaków, nawet gdyby to było na pustyni, tam powstanie gazeta.

Ta anegdota nie oznacza bynajmniej, że ilość gazet polskich w Wielkiej Brytanii liczyć można na setki. Tak wcale nie jest. Poza jedyną gazetą codzienną „Dziennikiem Polskim", istnieje kilka tygodników informacyjnych, religijnych i kulturalnych oraz spora ilość wydawnictw periodycznych, a także biuletynów organizacyjnych i innych poświęconych różnym zagadnieniom specjalnym.

Prasa polska w Anglii jest dla wielu mieszkających tu Polaków jedynym źródłem informacji zarówno z Anglii jak i ze świata. Oświetlając z polskiego punktu widzenia sprawy polityki międzynarodowej i obracając się stale w kręgu zagadnień polskich, ma ona wybitny wpływ na zachowanie osobowości narodowej Polaków.

Ten pobieżny przegląd czynników przeciwdziałających asymilacji Polaków w Wielkiej Brytanii pragnę uzupełnić jeszcze jednym stwierdzeniem. Otóż działa tu jeszcze jeden czynnik, którego źródłem jest postawa Anglików, a mianowicie traktowanie Polaków jako oddzielnej grupy w czasie demobilizacji oddziałów polskich i w okresie rozmieszczenia Polaków w różnych rodzajach pracy zarobkowej. Władze brytyjskie stworzyły w tym okresie specjalne urzędy i instytucje, które zajmowały się Polakami jako oddzielną grupą imigrantów. Działalność Komitetu dla Spraw Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii, stworzenie centrum studiów uniwersyteckich dla Polaków w Londynie i licznych szkół polskich — było ze strony władz brytyjskich przejawem troski o dobrobyt Polaków. Dla nas miało to jednak i inne znaczenie dużej wagi, bowiem odrębności Polaków, jako cudzoziemców należących do specjalnej kategorii, już samo przez się hamują proces upodobnienia czy asymilacji.

Jerzy Zubrzycki

ALEKSANDRA POLESKA

ŚWIATŁO W CIEMNOŚCIACH
NA MARGINESIE POWIEŚCI IGORA GUZIENKI „UPADEK TYTANA"*)

W październiku ub. roku minęło dziewięć lat jak Igor Guzienko — szyfrant biura attaché wojskowego pułkownika Zabotina w Ottawie — opuścił potajemnie gmach ambasady, zabierając ze sobą dokumenty, z których wynikało, że na terenie Kanady istnieje potężna organizacja szpiegowska, pracująca na rzecz Sowietów. Guzienko był bodaj pierwszym zaufanym sowieckim, który „wybrał wolność" pod wpływem Zachodu, a skandal, jaki wybuchł z powodu jego zeznań objął szerokim echem nie tylko Kanadę, ale i Anglię, gdzie w konsekwencji skazany został na karę więzienia wybitny uczony „atomowy" dr Alan Nunn May.

Guzienko od szesnastego roku życia był członkiem Komsomołu. Ukończył szkołę szyfrów i zanim dostał pierwszą robotę, NKWD badało przez pięć miesięcy jego prawomyślność, gorliwość służbową i tło socjalne. Z początku zatrudniono go w Głównym Oddziale Wywiadu Armii Czerwonej w Moskwie. Tam zaznajomił się z „intelligence service" rozszyfrowując telegramy agentów z całego świata. Wreszcie jako człowieka, na którym nie ciążyło najlżejsze nawet podejrzenie — wysłano go na pierwszą placówkę zagraniczną do Kanady.

Szczegóły sensacyjnej ucieczki Guzienki są dobrze znane. Zarówno redakcje gazet kanadyjskich jak i policja nie chciały wierzyć jego rewelacjom i poradzono mu grzecznie, aby wrócił do sowieckiej ambasady! Guzienko miał już wtedy przy sobie zabrane dokumenty i gdyby nie pomoc sąsiadów, którzy wraz z żoną i dzieckiem ukryli go u siebie — byłby się dostał niezawodnie w ręce NKWD. Po złożeniu zeznań przed Komisją Królewską Guzienko na własną prośbę pozostał w ukryciu, obawiając się zamachu na swoje życie. Te kilka lat samotności w odludnym zakątku kraju, który miał być odtąd jego ojczyzną, nie zostało jednak zmarnowane. Owocem ich jest prawie siedmiuset stronicowa powieść, gładko i ciekawie napisana, w której nawrócony komunista pragnie ukazać niebezpieczeństwo sowieckie nie tylko od strony zewnętrznej, militarnej, ale przede wszystkim od strony spustoszenia, jakie czyni w duszach i umysłach ludzkich.

„Upadek tytana" jest powieścią o słynnym pisarzu Maksymie Gorkim, który tutaj dla niepoznaki nazywa się „Michał Gorin. Gorin zresztą nie jest istotnym bohaterem, — raczej jedną z postaci pierwszoplanowych. Główne światło skierowane zostało na osobę młodego uczonego i enkawudzisty zarazem — Fiodora Nowikowa, któremu NKWD poleca najpierw ideologiczną „opiekę" nad Gorinem a później... jego likwidację. Nowikow jest młody i sympatyczny, pamięta jeszcze mgliście czasy przedrewolucyjne, ale od lat chłopięcych — za pomocą szantażu — wciągnięty został do służby donosicielskiej. Wprowadzają go teraz do pałacu Gorina, aby uzyskał na niego wpływ, zmusił do pisania zgodnie z linią partyjną, zawładnął duszą najpopularniejszego człowieka w Rosji, piewcy rewolucji, proletariackiego geniusza. Z początku plan się udaje. Gorin pisze pod jego wpływem sztukę, apoteozującą Iwana Groźnego, który był jakoby wcieleniem woli ludu a jest — oczywiście — personifikacją Stalina... Wreszcie jednak pod wpływem nędzy szarego człowieka w Gorinie budzi się sumienie i dopuszcza się „odchylenia humanitarnego".

Między nim a Nowikowem rozwija się ciekawa gra psychologiczna, oparta na prawdziwej przyjaźni. Młody uczony przekonuje pisarza, że wszystkie okrucieństwa polityczne są nieuniknione i że w istocie eksperyment komunistyczny jest jednak krokiem naprzód cierpiącej ludzkości... Równocześnie w duszy Nowikowa budzi się straszliwa nienawiść do Gorina, którego wątpliwości są jakby echem jego własnych ukrytych myśli, a którego opór psychiczny grozi najpoważniejszymi konsekwencjami samemu Nowikowowi w razie nieudania się jego misji. Ten strach panujący w atmosferze państwa komunistycznego pokazany tu jest z urzekającą sugestywnością: ulegają mu wszyscy, od najniższych funkcjonariuszy partyjnych. W miarę posuwania się po drabinie hierarchii sowieckiej strach się potęguje, aż wreszcie przybiera rozmiary zupełnie patologiczne. Jedynym człowiekiem, który się nie boi jest Veria — szef tajnej policji. (Oczywiście książka pisana była przed wielkimi zmianami w Rosji i dzisiaj życie samo dodało ironiczny komentarz do książki Guzienki!). W każdym razie teza jego pozostała prawdziwa: w Rosji jest się tylko albo łowcą albo ściganą zwierzyną... Bez przesady można powiedzieć, że najmniej przerażonymi ludźmi są skazańcy polityczni — każdy, kto był „przymusowym turystą" dobrze o tym wie. Więźniowie ze swymi wyrokami nie mają nic do stracenia, podczas gdy „wolny" obywatel ma do stracenia wszystko: pozycję, rodzinę, swobodę, życie...

Stosunek Nowikowa do Gorina ulega dalszemu uczuciowemu powikłaniu, gdy młody uczony zakochuje się bez pamięci w córce pisarza... Nina pociąga go nie tylko pięknością, ale przede wszystkim tym, że jest jakby uosobieniem wolności, tchnieniem swobody ście stepowej — akcja powieści toczy się w Rostowie nad Donem. Don zresztą — ta najbardziej romantyczna z rzek — jest więcej niż tłem powieści. Swoim ogromem, zmiennością i kapryśnością symbolizuje duszę rosyjską z jej nieodgadnionymi porywami, załamaniami i chwilami ekstatycznych upojeń... Nawiązującą się miłość niszczy twardy rozkaz przełożonego. Nowikow zrywa z Niną, aby dowieść swej prawomyślności a po pewnym czasie bierze za żonę Lidę, córkę partyjnego dygnitarza. Kiedy z kolei ojciec Lidy zostaje uznany za „wroga ludu" — Nowikow bez chwili wahania wyrzuca z domu żonę, spodziewającą się dziecka. Równocześnie władze postanawiają skończyć z Gorinem: Nowikow staje się świadkiem rzezi jego domowników i sam w furii nienawiści morduje sędziwego pisarza. Jest to kulminacyjny punkt powieści, gdy straszliwa ciemność, jaka zstąpiła na dom Gorina zostaje rozdarta błyskawicą cudu. Nowikow natrafia na małego chłopca, syna jednego ze służących Gorina, który przypadkiem uniknął śmierci. Dusza Fiodora, splamiona krwią, ale łaknąca Łaski, czuje tchnienie zaświatów, widzi interwencje Opatrzności w splocie niezwykłych okoliczności, jakie ocaliły dziecko... Z narażeniem życia wywozi je do miasta, aby oddać pod opiekę swego brata. Ów brat, Kolia, jest jedną z niewielu jasnych postaci książki — przypomina żywo Alioszę z „Braci Karamazow". Rozmowa rozmowa między braćmi na temat sensu świata i ostatecznego celu człowieka również musiała powstać z natchnień Dostojewskiego i jego słynnych dyskusji między Iwanem a Aliosza... Kolia nie wierzy w Boga, ale uznaje ewangeliczną wartość dobra, opiekuje się porzuconą żoną Fiodora. Nikow przyznaje ze łzami, że w Niego wierzy, wyznaje swoje zbrodnie (typowo rosyjskie „pokajanie"!) ale czuje, że nie ma dla niego drogi powrotnej... „Jestem człowiekiem straconym, należę do pokolenia, które musi pochłonąć zagłada", gdyż „każdy co rozlewa krew niewinną, zabija samego siebie"... Znów brzmi tu echo słów Dostojewskiego wypowiedzianych przez mordercę Raskolnikowa ze „Zbrodni i kary".

Po takim spięciu dramatycznym, dowodzącym nie tylko wielkiego talentu Guzienki, ale i przemożnego wpływu, jaki wciąż wywiera na młode pokolenie pisarskie Dostojewski — książka dość nieoczekiwanie kończy się akcentem optymistycznym. Nowikow ani nie ginie, ani nie pochłania go szaleństwo. Wraca do służby w NKWD i zostaje wysłany na placówkę do Ameryki. Ponieważ zakończenie powieści jest o wiele słabsze niż początek, należy więc przypuszczać, że Guzienko uległ namowom wydawcy, któremu musiało zależeć, aby książka nie była jednolicie ponura... czytelnik anglosaski nie lubi, gdy nie ma „happy endu" i początkujący autor musiał się z tym liczyć. Może zresztą Guzienko napisze dalszą część powieści, bardziej autobiograficzną, może zechce przedstawić późniejsze losy Nowikowa i jego zetknięcie się ze „zgniłym zachodem"... Dobry brat żeni się z Lidą i w ostatnim rozdziale jesteśmy świadkami sielankowej sceny nad Donem — dziecko usiłuje łapać promienie słoneczne a Kolia — od autora — powiada: „Jedynie w dzieciach jest nadzieja nas wszystkich". Optymizm ten trudno jest podzielić, skoro nic się nie zmieniło, krew niewinnych dalej płynie a zdanie o „nadziei w dzieciach" jest jednym z oficjalnych sloganów partii komunistycznej.

Pomimo tych zastrzeżeń książka jest warta przeczytania. Nie tylko dlatego, że jest swego rodzaju dokumentem, ale i dlatego, że autor posiada talent równie żywiołowy co Sienkiewicz i Balzak. Podobnie jak im udało mu się stworzyć świat ludzi żywych o ogromnym wprost zasięgu. Widzimy przedstawicieli wszystkich sfer społecznych (niby to bezklasowe społeczeństwo „sowieckie" posiada w rzeczywistości niezwykle szeroką skalę zróżnicowań i snobizmów towarzyskich) począwszy od półdzikich kozaków, poprzez „czarnoroboczych", drobnych urzędników, służbę, obsługę stołówek i sklepów aż po wyżyny partyjne, profesorów uniwersytetu oficerów, do stójników N. K. W. D. Podobieństwo do Balzaka nie byłoby całkowite, gdyby zabrakło momentów zabawnych. Guzienko instynktem prawdziwego artysty wie, że przerażenie i rozpacz nie panują niepodzielnie nawet w Rosji i że, jeżeli momenty makabryczne mają robić wrażenie, trzeba rzucić je na tło lżejsze, jaśniejsze. Są więc kapitalne sceny uczt, przyjęć, ślubów wśród arystokracji partyjnej; jest kilka epizodów miłosnych, potraktowanych nie tylko z „wsiową" co z „amerykańską" rubasznością...

Guzienko — jak każdy prawie początkujący pisarz — mniej się troszczy o formę powieści, która płynie szeroko i rozlewnie jak Don — i mniej interesują go zagadnienia techniki literackiej, niż sprawa misji, jaką ma do spełnienia. Misją tą jest oczywiście zerwanie łuski z oczu człowieka Zachodu, pokazanie ucisku, jakiemu poddane jest społeczeństwo rosyjskie. Dlatego powieść nie jest wolna od — niewielkich zresztą — błędów. Znaleźć można tu i ówdzie zdanie jakby żywcem wyjęte z artykułu propagandowego... „cała Rosja spływała krwią, cierpieniom ludu nie było końca" — chociaż to prawda, sformułowania takie są niepotrzebne wobec plastyki opisu owych cierpień... zaś zwracanie się wprost do czytelnika w sposób bezceremonialny niszczy iluzję rzeczywistości stworzonej przez autora — rzeczywistości, która przecież musi „żyć" własnym życiem, niezależnie od swego twórcy.

Co więcej, czytelnik anglosaski nie lubi, by częstować go gotowymi formułkami. Guzienko zresztą rzadko poddaje się pokusie wtargnięcia osobiście w swój świat powieściowy i raczej zachowuje przyzwoity dystans, co jest dla młodego pisarza sprawą bodaj najtrudniejszą. Najlepiej udają mu się dialogi — wtedy jest trafny, żywy i przekonywujący tak dalece, że nie można się powstrzymać od okrzyku „ależ on umiałby pisać na scenę!". Współczesne życie rosyjskie obfituje jak widać w momenty o wysokim napięciu dramatycznym, w konflikty sumienia z prawem, miłości rodzicielskiej z obowiązkiem pojętym „po bolszewicku". W ciekawe psychologicznie wypadki tchórzostwa nadmiernego z jednej, a szaleńczej odwagi z drugiej strony. Byłby to idealny materiał dla dramaturga.

To, że Guzienko, mając tak żywe wyczucie dramatu wybrał jednak formę powieściową, należy chyba przypisać wpływowi jego mistrza — Dostojewskiego. Pokrewieństwa psychiczne między nimi muszą być uderzające, z tym, że Guzienko jest osobowością znacznie mniej skomplikowaną. Dlatego powieść jego jest łatwiejsza i bardziej pogodna, ale nie ma tej głębi psychologicznej co dzieła Dostojewskiego. U Guzienki lud rosyjski jest w gruncie rzeczy poczciwy i nieszczęśliwy raczej niż zły... gdyby dać mu inne warunki, inny rząd — stworzyłby najspokojniejsze społeczeństwo pod słońcem... Taki punkt widzenia jest zupełnie obcy Dostojewskiemu: według niego zło tkwi nie w warunkach zewnętrznych, ale w samej istocie natury ludzkiej, która wychyla się do Boga jak roślina do słońca, ale korzenie jej tkwią głęboko w ziemskim brudzie... Guzienko jest i płytszy i bardziej optymistyczny, ale u obu główną cechą jest wielkie, wszystko obejmujące współczucie dla cierpiącej ludzkości.

„Upadek tytana" to wielkie i ambitne osiągnięcie młodego pisarza, a sukces jego dowodzi także, że dobra literatura powstaje zawsze w oparciu o tradycję, o najwyższe w danym kierunku osiągnięcia każdego narodu.

Aleksandra Poleska

*) Igor Gouzenko: „The Fall of a Titan". translated by Mervyn Black, Cassell, 16 sh.

ZOFIA ROMANOWICZOWA

NA OPOCZYŃSKIM MOŚCIE

Wóz jedzie turkocząc drobno. Kiedy koło zawadzi o pryzmę na brzegu szosy, w szprychach trzeszczy, jakby ktoś w nas cisnął garścią żwiru. Małe zia renka żwiru, fiołkowe, różowe, miło je przesypywać w palcach, gdy są nagrzane słońcem. Podkowy stukają monotonnie. Gdy takt się zmyli, wiem, że to Siwy upada na lewą zadnią i krzesze iskry. Pod górkę konie zwalniają same ze siebie, wtedy skrzypią osie, drewniane dechy klekocą, szura rzemienna uprząż, podwozie pojękuje, ciężko obarczone. Na miękkim piasek piszczy, to znów chlupnie woda z bajora, pacnie błoto. Na drewnianym moście pod Gielniowem dudni triumfalnie, można by policzyć bierwiona. Za to z góry wóz rozpędza się własnym ciężarem, aż Siwy stęka i już tylko brzęczenie, dzwonienie, wesele roztańczonego żelastwa.

Pachną skrzynie, zbite ze świeżych desek, a w skrzyniach pachną jabłka, poukładane klejnoty, złote olkwi, drogocenne kosztele, opięte lśniącą skórką, przełożone sianem. Leżę na wznak, z podłożonymi rękami. Głowa wycisnęła sobie dołek w wiązce grochowin, w plecy uwiera mnie powrósło, ale przy tym jest tak dobrze, że się nie chce ruszać. Gruba bunda wujowa przywaliła mnie górą, policzkiem trę o szorstką derkę. Powieki nabrzmiewają snem, zamykają się same. Oma niskich, przedrannych gwiazd mży i pruszy, niebo podskakuje na wybojach, kołysze się, jedzie razem z nami. Od pól zawiewa łubem, gęsto, mocno, to znów tatarką, wyką, ściętą ponową na łąkach, rzeką i tatarakiem, czy ja wiem, sadem, dymem jakimś krnąbrnym, gdy w pierwszej z brzega chałupie zaspana baba chucha i dmucha pod blachę, żeby odegrzać gar wczorajszego barszczu na śniadanie. W ciemnościach już coś łazi, coś się rusza, pieją koguty, skrzypią studzienne żurawie. Siwy parska, gałęzie przydrożnych topoli przebiega drobniutkie drżenie. Ochłodziło się — daję nurka głębiej w rozkoszne gniazdo wujowej bundy.

— Wioo!... — pogaduje z nudów wuj, żeby nie zasnąć. — Wiśta! — Rzemienne lejce klaszczą, puszczone luzem. — Prr! — Wóz zjeżdża na bok szosy, zwalnia, staje.

Otwieram oczy. Gwiazdy znikły, niebo zasnute czymś różowym, czymś mlecznym. Stoimy tuż nad rowem. Wuj skręca w palcach machorkowego papierosa, przeciąga się, zadziera głowę do góry, jaki czas się zapowiada, ziewa:

— Śpisz? — pyta, oblizując pod rudym wąsem brzegi bibułki. — Wstawaj! Bo już stara żydowica siedzi na opoczyńskim moście.

— Uhm — mruczę z czeluści bundy. Trochę się boję. Nie bardzo wierzę w starą żydowicę, ale się boję.

— To mi panna — szydzi wuj. — Po co było tyle beku? Jak spać, to już lepiej w domu, pod pierzyną.

Jedziemy dalej. Wóz podskakuje, kulga mną na wiązce grochowin, trzęsie, niesie niewiadomo dokąd. Ale powieki już przejrzystsze, filtrują sylwety mijanych drzew. Szarzeje, jakby za horyzontem ktoś powoli odkręcał knot niebieskiej lampy. Za nami i przed nami inne turkoty. Wymijają nas lżejsze furmanki i bryczki.

Dojeżdżamy do Opoczna. Szkoda. Gdyby tak można było jechać i jechać bez końca, pół na jawie, pół we śnie, gdyby kolejne turkoty i wstrząsy podbiegały pod plecy jak drobne fale strumienia i niosły, niosły ku czemuś, co niewiadome i nienazwane, w stronę Sfinksa o nieodgadnionej twarzy, starej żydowicy, co rozsiadła się na moście dziecinnych lat.

Na goździkowskim strychu stoi obdrapana kolebka, w której podobno wychowywali się wujowie. Lubimy się w niej z Łucją kołysać na zmianę. Kiedy przychodzi moja kolej, Łucja siada bokiem i huśta, huśta, klaszcząc bosą piętą, aż bieguny trzeszczą, aż kolebka staje dęba. Zamykam oczy i znów przychodzi to z lekka mdlące otępienie. Coś się porusza, coś przypomina w odpowiedzi na morskie, oszałamiające turlanie. Kurz wstaje tumanem z podłogi, huśtają się pajęczyny. Z kąta pachną kołacze pszczelnego wosku.

Albo na karuzeli, w Studziannej, na odpuście, kiedy drewniany łeb koński z nastroszonymi uszami wyrywa nagle spode mnie ponad stragany, ponad wiechy baloników, wierzchołki drzew, prosto w chmury. Na szyi dzwonią mi poplątane sznury paciorków i obwarzanków.

Albo znów nad stawem, kiedy, w upał, kładę się płasko na pochylonym konarze białej morwy. Za lada drgnieniem wiatru liście maczają się w wodzie i budzą koła, małe i duże, szybsze od tchnienia, aż mąci się twarz zagadkowa, moje własne odbicie. W głowie kręci mi się, jakbym zaglądała do studni, płynę, zaczajona, na mojej tratwie nieruchomej, w dziwny świat wodnych kół, zielonej rzęsy i zbełtanego nieba.

Żadna przyjemność nie da się jednak porównać z nocną jazdą na jarmark do Opoczna. Już samo wstawanie przy okopconej lampie, gdy za oknem szaleją psy spuszczone z łańcucha, a w kuchni pachnie odgrzewanym mlekiem, bo nawet krowy jeszcze nie dojone. Przed domem szumią kasztany zmienione nie do poznania. Echo niesie każde słowo, aż wszyscy mimo woli zniżają głos, jakbyśmy wywozili jabłka ukradkiem, w tajemnicy przed kimś, co śpi w sadzie.

W ciemności ledwo majaczą wozy, załadowane skrzyniami. Rozpoznaję „swój" i śpiesznie włażę po dyszlu, żeby nie rozmyślili się, żeby mi nie kazali zostać. Siwy parska, otrząsa się, próbuje kopytem kamieni podwórza, senny. Pewno z żalem opuszcza stajnię pełną ciepłych woni.

— Jużeś się tam wdrapała! — gdera wuj, unosząc latarnię do góry. Wygląda w jej świetle jak zbój Madej, krzywi się, łypie oczami groźnie.

— Złaź mi zaraz!

Wcale się nie boję, bo jednocześnie przyrzuca mnie swoją bundą.

Otwierają się przed nami wrota. Wyjeżdżamy do szosy ciemną aleją, wzdłuż sadu, w którym świszcze pierwszy ptak. Wieś jeszcze śpi na głucho. Zaraz za mostem zsuwam się z siedzenia, układam, zamykam oczy i rozpoczynam podróż właściwą.

Lecz cóż, dnieje, słońce wschodzi, natarczywe i wyspane, łaskocze w nos, prześwietla różowo powieki. Za nami i przed nami turkoty, jeden sznur furmanek i bryczek. Wyłażę spod bundy, zdrętwiała i zaspana.

— Żyjesz? — pyta wuj. Puszcza mi w nos kłąb machorkowego dymu. W świetle poranka widać każdy włosek zarostu, który mu przez noc wysypał na brodę. Krzywi się, pyka, trzaska batem. Pocieram czubkiem nosa ryżą szczecinę.

— No, no — mruczy — tylko bez czułości.

I wyciąga dla mnie z kieszeni wielką, żółtą kosztelę, aż przejrzystą. Zatapiam w niej zęby, sok pryska. Śmiejemy się. Jestem szczęśliwa.

Zofia Romanowiczowa

MASONERIA W ANGLII I FRANCJI

W miesięczniku „La Table Ronde", którego najwybitniejszą siłą redakcyjną jest François Mauriac, ukazał się interesujący artykuł jezuity o. Josepha Berteloot o stosunkach między masonerią francuską a brytyjską.

By zrozumieć te stosunki stwierdza Berteloot — trzeba mieć w pamięci, że we Francji istnieją trzy odrębne „obediencje" wolnomularskie: „Grand Orient de France" (centrala przy rue Cadet w Paryżu), „Grande Loge" (siedziba: rue de Puteaux w Paryżu) i wreszcie „Grande Loge Nationale Française" (boulevard Bineau w Neuilly). Tylko ostatnich z tych „obediencji" uznana jest oficjalnie przez Wielką Lożę Anglii, prawie wszystkie loże amerykańskie oraz przez loże skandynawskie.

Od dawna już masoni dwóch pozostałych obediencji „dysydenckich" usiłują nawiązać stosunki oficjalne z masonami angielskimi, to jest z Wielką Lożą Anglii, której prestiż utrzymuje się nadal na bardzo wysokim poziomie. Wysiłki te jak do tej pory nie dały wyników; na rok przed wybuchem wojny, dnia 28 sierpnia 1938 roku, wielki mistrz Wielkiej Loży Anglii, książę Connaught, ogłosił w jej imieniu deklarację, która w bardzo energicznej formie odrzuciła wszelką możliwość uznania „dysydenckich" lóż francuskich.

Deklaracja przypomniała podstawowe zasady organizacji masońskiej: wiarę w Boga, nazywanego Wielkim Budowniczym Świata, wiarę w Biblię, pojmowaną jako objawienie woli Boskiej, niemieszanie się do polityki, poszanowanie wolności sumienia, istniejącego porządku społecznego i głowy państwa. Wymieniwszy te zasady Wielki Mistrz dodał następujące stwierdzenie: „Wielka Loża posiada informacje, iż istnieją organizmy, które pretendują do pochodzenia od masonerii i używają jej miana, choć nie trzymają się jej zasad. Póki będą one utrzymywały to stanowisko, Wielka Loża odmawiać będzie absolutnie utrzymywania stosunków z nimi i uważania ich za organizacje masońskie".

Deklaracja ta była wielkim ciosem dla „dysydenckich" masonów francuskich, przede wszystkim dla Wielkiego Wschodu. Na konwencie Wielkiego Wschodu we wrześniu 1938 roku gwałtownie atakowano roszczenia masonerii anglosaskiej do wyłącznej hegemonii, równocześnie jednak wzywano prezydenta Rady Wielkiego Wschodu, Groussiera, by podwoił wysiłki zmierzające do zjednoczenia z masonami angielskimi i amerykańskimi.

Berteloot dodaje, że kilkanaście lat przedtem, w roku 1921, pewna ilość masonów, pragnących mimo wszystko doprowadzić do takiej unii, powołała do życia „Międzynarodowe Stowarzyszenie Masońskie" (Association Maçonique Internationale). Początkowo miało ono spore powodzenie i skupiło około 120.000 członków z 32 krajów. Po drugiej wojnie światowej jednak poczęło się ono rozkładać, na co wpłynęło przemówienie księcia Devonshire, zakazujące wszystkim lożom, a nawet wszystkim obediencjom zależnym od Wielkiej Loży Anglii, utrzymywania stosunków z masonami „niedowiarkami". Decyzję tę przyjęły masoneria holenderska, szwajcarska i inne. Po dość długim procesie rozkładu wewnętrznego Międzynarodowe Stowarzyszenie Masońskie rozwiązane zostało jednomyślną uchwałą swego konwentu, który odbył się w Paryżu w dniach 28 i 29 kwietnia 1950 roku.

Ze strony masonów anglosaskich podkreśla się nadal, że póki Wielki Wschód i Wielka Loża Francji nie zmienią swego stosunku do wiary w Boga i Jego objawionego prawa, masoneria angielska i amerykańska uznawać będzie nadal tylko Wielką Lożę Narodową Francji: „Dla Francuzów — mówią Anglosasi — Wielki Wschód i Wielka Loża mogą stanowić liczne korzyści materialne, te mianowicie, których dostarczają zwykle kluby i różne stowarzyszenia wzajemnej pomocy, my jednak odmawiamy im tytułu frank-masonów i wolimy ich ignorować."

Ze strony Wielkiego Wschodu zarzuca się Wielkiej Loży Anglii, że przez długi czas utrzymywała stosunki „bratnie" z zespołem masońskim, który nie troszczył się wcale o tzw. granice (landmarki), rzecz odgrywającą dużą rolę w ideologii i symbolice masońskiej. Owe „landmarki" reprezentują trzy cechy: starożytność, uniwersalizm i nieodwołalność; stały się one dogmatami masońskimi, których nie wolno zmieniać ani nawet dyskutować bez popełnienia świętokradztwa. Jednak frank-masoni nie są już zgodni nawet co do znaczenia swej tradycji.

Od końca XVIII wieku masoneria angielska domagać się zaczęła od swych członków wiary w Wielkiego Budowniczego — podkreślając wyraźnie, że chodzi tu o Boga z Pisma Świętego, następnie wiary w nieśmiertelność duszy — i wreszcie obecności na ołtarzu wolnomularskim Biblii, otwartej na Ewangelii św. Jana, co stanowi — słabe zresztą — wspomnienie ducha chrześcijańskiego.

W tym czasie masoneria angielska stała się czymś w rodzaju „trzeciego stanu" Kościoła anglikańskiego i skupiać poczęła w swym gronie licznych dostojników kościelnych i świeckich, książąt i parów, biskupów i arcybiskupów.

Tradycje masonerii łacińskiej są zupełnie inne. Trzymają się dosłownie pierwszych angielskich „konstytucji" masońskich Andersona z roku 1732, masoni francuscy usiłowali je interpretować w sensie coraz bardziej liberalnym i wolnomyślnym, tj. w praktyce coraz mniej religijnym. Przez to doprowadzili się stopniowo do zupełnego oddalenia od masonów angielskich. Stanęli na stanowisku adogmatyzmu, stąd bardzo już bliska droga do ateizmu.

Objawiło się to przede wszystkim w losach określenia „Wielki Architekt Świata", co początkowo, jak już wspomnieliśmy, wyraźnie oznaczało Boga. Ale już w roku 1877 prezydent Rady Wielkiego Wschodu, pastor protestancki, Desmons, usunął z aktów wolnomularskich znaną formułę „A la gloire du Grand Architecte". Wywołało to taką burzę, że kierowniczy masoni poczęli się wysilać nad daniem temu określeniu innych znaczeń na wypadek konieczności jego przywrócenia. Początkowo — rozumowali — wyrażenie to oznaczało Boga w znaczeniu chrześcijańskim, jako Stwórcę świata. Obecnie wystarczy rozumieć pod tym „pierwiastek konstruktywny życia wszechświata" — pierwiastek, który czczony jest również przez zwolenników wyznań niechrześcijańskich.

Obecnie — jak to stwierdza jeden z masońskich pisarzy francuskich — dla ogromnej większości frank-masonów „Wielkim Budowniczym Świata" nie jest Bóg. „Może to być Pan, Ozyrys, Izyda, ubóstwiona Przyroda, ubóstwiona Ludzkość, człowiek idealny, Istota Najwyższa Robespierre'a, bóg Berangera. Wszystkim tym może być „Wielki Budowniczy", ale na pewno nie jest Bogiem chrześcijan".

„Wielki Budowniczy Świata" — oświadczył inny mason, Maurice Cock — to wolnomularz, który dąży do poznania praw dźwigni, by poruszyć ziemię". „Wielki Budowniczy" — pisze od siebie autor artykułu — to obecnie klisza, nie obowiązująca do niczego, nie domagająca się niczego, ani wiary, ani nawrócenia jednostki, — to po prostu sposób na uzyskanie uznania przez Anglików i formuła rytuału". Jeśli ma się skłonność do nauczania „religii ateistycznej", bliska stąd droga do uwielbiania Bafometa, przyjęcia najbardziej osobliwych obrządków guślarstwa i do akceptowania świętokradzkiego odprawiania „mszy czarnych".

Berteloot pisze o tym stanie rzeczy z wielkim smutkiem, przytaczając słowa publicysty katolickiego ks. Théas: „Odrzucenie Boga logicznie prowadzi do zmiażdżenia człowieka. Gubi się człowieka odrywając go od Boga, ratuje się człowieka zbliżając go do Boga". Niestety wpływ Rosji komunistycznej, silny we Francji, wzmacnia i tu pozycję czynników antyreligijnych.

* * *

Ostatnio, notuje autor artykułu, zaszedł fakt, który stanowi jakby pewien wyłom w dotychczasowej postawie Wielkiej Loży w Anglii wobec masonów „dysydenckich" we Francji. Mianowicie Loża ta zgodziła się na utworzenie czegoś w rodzaju loży mieszanej, jakby „antyszambry" przyszłej Wielkiej Zjednoczonej Loży Francji, która by skupiała zarówno masonów z „Grande Loge Nationale Française", jak i proszących o dopuszczenie ich członków „Grand Orient" i „Grande Loge".

Byłoby to — stwierdza o. Berteloot — zupełne monstrum w historii masonerii kontynentalnej, miałaby bowiem powstać w ten sposób loża „regularna", złożona w części z masonów „nieregularnych", naruszających obyczaje masonerii „regularnej" i nie uznawanych za masonów „regularnych" przez obediencję, która kieruje wyżej wspomnianymi masonami „regularnymi". Zapytywani o to masoni z francuskiej „Grande Loge" wyjaśniają, że celem ich zabiegów już od dawna jest zniesienie nałożonej na nich przez Wielką Lożę Anglii, „ekskomuniki". To samo jest przedmiotem życzeń Wielkiego Wschodu. Fakt jednak pozostaje faktem, że masoneria anglosaska może „de iure" uznać tylko jedną obediencję w każdym kraju; uznanie to udzielone zostało już parę dziesięcioleci temu „Grande Loge Nationale Française".

Niektórzy z masonów krajów łacińskich utrzymują, że Londynowi uświadomiono polityczną wartość zjednoczenia masońskich obediencji francuskich w zasięgu wpływów polityki brytyjskiej. O. Berteloot wątpi w prawdziwość tego przypuszczenia, gdyż zdaniem jego wpływy angielskie nie potrzebują wcale posługiwania się masonerią krajów łacińskich, dostatecznie skompromitowaną w oczach Francuzów. Berteloot zresztą ze swej strony ostrzega Anglików przed łączeniem się z organizacjami, w których silne są wpływy elementów wywrotowych i podkreśla, do jakiego stopnia Wielki Wschód przeniknięty jest przez czynniki komunizujące i tzw. „progresywne". Przypomina też doświadczenia z końca XVIII wieku.

* * *

W artykule znajdujemy też krótkie, ale ciekawe dane o metodach, jakie zastosowali komuniści wobec masonerii w krajach za żelazną kurtyną. Mowa jest konkretnie o Rumunii. Wielki mistrz przedwojennej masonerii rumuńskiej (zdaje się obediencji Wielkiego Wschodu), Pangal, przebywa na wygnaniu w Paryżu. W samej Rumunii rząd Grozy przy użyciu wszelkich możliwych środków nacisku i zastraszenia zgniótł wszelkie wpływy antykomunistyczne w lożach masońskich. Agenci sowieccy uzyskali od pięciu dostojników masońskich rozesłanie do wszystkich oddziałów okólnika, który nazywał zmianę istniejących regulaminów w kierunku liczbowego przede wszystkim, a nie jakościowego rozwoju organizacji, przyśpieszenia procedury inicjacji oraz — co najcharakterystyczniejsze — „studiów" nad możliwością złączenia ideału masońskiego z ideałem markrsistowskim.

Różnymi więc sposobami kryptokomuniści uchwycili władzę w masonerii rumuńskiej, tak że stała się ona po prostu jedną z agend reżymu komunistycznego. Pod koniec roku 1948 reżym uznał, że „zreformowana" w ten sposób masoneria spełniła już swe zadanie i rozwiązał zarówno jej centralę, jak wszystkie oddziały.

Przypuszczać należy, że podobny przebieg miały powojenne dzieje masonerii we wszystkich krajach, które znalazły się pod panowaniem sowieckim.

S. N.

PO ŁEPKACH

TRADYCJA I PRZESĄD

EMIGRACJA — rzecz to już wielekroć stwierdzona — żyje z głową odwróconą ku przeszłości. Józef Łobodowski w satyrze „Polacy na wojnie" smaga ów dur, przedstawiając polskich emigrantów jako podróżnych gotowych każdej chwili do zajęcia miejsc na statku wracającym do Arkadii. Obcy mówią o nich: „Chcą jechać takim okrętem, co odchodzi w przeciwną stronę". Każdy Polak, to urodzony satyryk i krytyk naszych wad i przywar narodowych. Każdy też ma trochę z wieszcza i profety, co to już wszystko dawno przepowiadał. Ale każdy, podobnie jak i ów satyryk-poeta Łobodowski, okupuje miejsce na statku-widmie, marząc o powrocie. Nie marzą o przeszłości tylko ci, którzy jej nie mają. A więc młodzi i ci, którym ojczyzna była padołem łez. Ale nawet i ci drudzy ziemi i nieba polskiego nigdy nie zapomną.

„Emigracje nie wracają" — mawia się, dodając skrycie w sercu: „z wyjątkiem naszej". Emigracje, oczywiście, nie wracają, ale któż na tym świecie wraca? Gdyby stęsknionych emigrantów zapakować na wielką flotyllę i wysadzić na polskim brzegu, zapewne ogromna ich większość po niewielu dniach zaczęłaby przemyśliwać, jak znowu kraj opuścić. Bo w kraju nie znaleźliby swojej przeszłości, swoich marzeń. Emigracje nie wracają, ale i narody nie wracają do swej przeszłości. Nasi bracia nad Wisłą tęsknią tak samo do przeszłości, jak my tu nad Tamizą. Tylko że oni mają zmienioną ojczyznę, a my jej wcale nie mamy.

Warto się więc zastanowić, czy nasza miłość ojczyzny nie jest tylko marzeniem, a kraj sam mitem, baśnią, senną zjawą. Ojczyzna bowiem, to nie czas zatrzymany, nie raz napisana książka czy raz namalowany obraz. Otóż to właśnie: emigranci tęsknią do bukolicznego malowidła, którego środkiem płynie Wisła, płynie, a po bokach stoją kmiotki w sukmanach i przetowłose dziewoje, wsparte na snopkach pszenicy, a obok ułani spod Samosierra i Jazłowca.

A ojczyzna — podług Norwida — to wielki społeczny obowiązek, stale dziejąca się i zmieniająca rzeczywistość. Ojczyzna może równie dobrze istnieć bez ziemi, w duszach i zbiorowej woli. Wówczas jednak nie przynosi korzyści, lecz trud i wysiłek. Od tej ojczyzny — zobowiązującej radzi uciekamy do sielanki szczęścia i rozkoszy. Niestety, prawdziwą jest tylko ta pierwsza ojczyzna, druga zaś dawno umarła. Nikt już szczęścia nie znajdzie w domu, bo nie ma go w ojczyźnie. Ojczyzna, to dziś już tylko świadomy obowiązek.

Pisarze nasi na emigracji są jak guślarze, zamawiacze i wróżbici. Wywołują ducha dawno umarłej przeszłości i jak na filmie rysunkowym ojczyznę ukazują nam jako pałac królewny Śnieżki, ogrody z krainy czarów, jako zbiór przysłów, legend o dziwożonach, skrzatach i podciepkach, jako zabobonny, przesądny, patriarchalny świat spoza kresu rzeczywistości. Wychowawcy i statyści na uchodźstwie dziwią się, że te bajki nie porywają nawet dzieci, a cóż dopiero dorastającej w połowie dwudziestego stulecia młodzieży.

Kto wie, czy najlepszą drogą do zachowania wspólnoty narodowej na obczyźnie nie byłoby wypowiedzenie walki mitom i przesądom? Ruszenie z posad bryły legend? Otwarcie okien na Boży świat rzeczywistości? Zbliżenie Polski do świata? Kiedyż uroczyście pogrzebiemy na emigracji szlacheckie dworki w malwach i słonecznikach i zbudujemy wsi z cegły i kamienia, kiedy szewczyki ze Starego Miasta staną przy warsztatach nowoczesnych fabryk, kiedy wreszcie znikną żarna, krosienka i sochy?

Bo jakże my stąd widzimy ojczyznę? Dla jednych jest to wygodny urząd, pieniądze na pierwszego i władza, choćby w formie ściągania podatków, dla drugich „Qui pro Quo", Ziemiańska i ciastka od Gajewskiego, dla innych znowu góry nasze, góry, bo w mazurze taka dusza, kudłate chłopki spod Kazimierza, Lejbe i Siora z przydrożnej karczmy. W okresie Wielkanocy wspomnienia nasze płyną przede wszystkim ku stołom ze święconym jadłem. Już od północy rój kuchcików rżnął kapłony, pod kiełbasami pękały stoły, gospodyni chlipała w kącie, że baby jak baby, ale mazurki na nic, a przypalony sękacz trzeba dać służbie lub wieprzom, a nowy na stu sześćdziesięciu jajach zaczynać od nowa, dziewuchy od tygodnia nic nie robiły, tylko na wyprzódki w prześmiechach pisały jajka. Hej, ojczyzno niezapomniana! Nie tak to illo tempore bywało! A wódeczka, paniedzieju, a nalewki, a miodek!

Najżywsze uczucia narodowe budzi w nas lektura o święconym u księcia Radziwiłła Sierotki, namiętnie powtarzana co rok przez czasopisma emigracyjne, opis obyczajów Jędrzeja Kitowicza, Rej.

„Jakieś torty trudnonosze,
Pozłocone marcepany,
Nuż uspaniny, cenadry,
Pozłocisty baran z fladry."

„A wedle starych kwitacyj,
Kto nie ma zacz, ten piwo pij,
Bo barzo z onego wina
Zamnoży się więc chudzina.
Wszakeś Polak, dzierż sie swego
Seropu przyrodzonego."

Ojczyznę zamykamy w granicach wielkanocnego stołu. Nie tyle sercem do niej tęsknimy, co bodaj częściej żołądkiem. To zaś marzenie o wymyślnym jadle jest jednym z przejawów tęsknoty do czasów umarłych, dokonanych i zaprzeszłych. Nie czas na hulaszcze zbytki, bo do stołu zasiadło co najmniej dziesięćkroć tylu biesiadników co za czasów Reja i księcia Sierotki, choć ziemia nie powiększyła się wcale. Mało tego: dziś przyszli do stołu wygłodzeni przez wieki ludzie spod strzech i z lepianek. Nie czasy dziś też na domowe fabryki jadła, bo trzeba wykonać ważniejsze i pilniejsze prace. Toteż mazurki, sękacze, przekładańce przesuwają się nieubłaganie w przeszłość, podobnie jak cielce i woły z rożna i półgęski z rusztu. Owszem, w bajkach i powieściach niechże sobie pozostaną, dając świadectwo dawnym czasom. Rzecz w tym, aby nie były wskazaniem na przyszłość, przedmiotem rzeczywitych pożądań i aby nie pogłębiały przepaści między życiem dzisiejszego świata i naszą imaginacją.

Wizja ojczyzny ma się opierać nie o obrazki ze staroświeckich iluzjonów, lecz o rzeczywistość, jaka jest już udziałem szczęśliwszych ziem i narodów. Tu na emigracji rodzice mówią do dzieci: „u nas całkiem inaczej", „u nas słońce i pogoda", „u nas dobre wróżki i duszki tęczowe". Dzieci uwielbiają bajki, nic nie wiedząc o tym, że rodzice biorą je na serio. Rodzice polscy na emigracji nie czytają dziś dzieciom Andersena, Jachowicza i Konopnickiej, lecz opowiadają o swojej Polsce. Dzieci jednak dorastają, ich umysł zamyka się wówczas na bajki i chłonie chciwie rzeczywistość. I oto zaczyna się tragedia. Wir rzeczywistego życia porywa te wyrośnięte dzieci polskie w obcy świat, bo tęcz i legend trzymać się nie można. Te dzieci wstydzą się, że u nas jest inaczej, a nie tak samo albo choćby podobnie jak u obcych. Ojczyzna przestaje dla nich być rzeczywistością, a staje się naiwnym mitem. Polska naszych dzieci nie może być siermiężna i dworkowa, ale musi być taka jak kraje na Zachodzie. Polski węgiel i stal, ruda, kopaliny i solanki, i żegluga, i flota, i miasta z nowoczesnym budownictwem, rzemiosła, twórczość przemysłowa, rolnicza i kulturalna winny być ideałami ukazywanymi młodzieży polskiej na obczyźnie.

To, oczywiście, nie wszystko. Naród, to przede wszystkim tradycja i wspólnota celów. Legendy o Wandzie i Krakusie, o śpiących rycerzach, skrzaty i płanetniki, stoły i obyczaje wielkanocne, śmigus i rękawka są także częścią tradycji narodowej, nie na nich wszakże tradycja ta się skończy. Od Wandy i Krakusa sporo wody upłynęło w Wiśle i Odrze. Polskie tradycje religijne, historyczne, naukowe, kulturalne, tradycje pracy i walki są wspaniałe i nieprzebrane. Tylko myśmy je załzawili, spłycili, strywializowali. Wyciągamy z lamusa narodowego koraliki, a nie sztaby złota, wstążeczki, a nie księgi, bajki, a nie biografie, senniki, a nie traktaty. Znajomość dziejów ojczystych jest u Polaków zawstydzająco mała i ciasna. Tkwimy ciągle w epoce lodowcowej naszej historii, a Piast Kołodziej jest nam bliższy i droższy niż Kopernik, Skłodowska i Wróblewski.

Tradycję naszą trzeba zatem co rychlej oczyścić z pajęczyny przesądów i kurzu legend. Trzeba ją wyprowadzić z dzieciństwa. Tradycja bowiem jest żywą skarbnicą, niezamulonym źródłem, sercem dziejów. Sercem tysiącletnich dziejów.

Tradycja, nie zabobon ni ludowa śpiewka.

J. B.

Listy do Redakcji

SAPERE AUSO

Z zadowoleniem witam artykuł Polonusa w nrze ŻYCIA z 23 stycznia b.r. „Modlitwa za Rosję". Na koniec publicysta się znalazł, polski, katolicki, rozróżniający pomiędzy komunizmem a Rosją, uwydatniający zadanie Polski, jej korzyści w nawróceniu Rosji, podejmujący przepowiednię Mickiewicza: „On jeden się nawróci i Bóg mu przebaczy."

Na marginesie tego artykułu czynię kilka spostrzeżeń. Co do modlitw po cichej Mszy św. o nawrócenie Rosji, to intencja Kościoła pozostaje zawsze, niezależnie od tego, czy się to nadmienia. W formularzach, wydanych z polecenia kardynała Hlonda w Poznaniu po pakcie lateraneńskim, intencja ta była wyrażona i o ile mię pamięć nie myli, takiego właśnie używaliśmy w kaplicy Nowego Domu Polskiego w Jerozolimie. Wątpię czy się znajduje w tłumaczeniach francuskich, przynajmniej nie ma jej w tych, jakie mamy w Libanie.

Przechodzę do zatargów polsko-rosyjskich. Nie zdaje mi się słuszne porównywać Żółkiewskiego na Kremlu z okupacją Warszawy przez wojska rosyjskie w różnych czasach, z wyjątkiem chyba Królestwa Kongresowego 1815-30. Żółkiewski przedstawiał przecież, wybranego przez samych Rosjan carem, Władysława (IV) Wazę w bezkrólewiu pomiędzy upadkiem Szujskich a wyborem Romanowych. Porównać by to raczej należało z projektami wyborów carów na królów polskich jak Iwana Groźnego, Fiedora, Aleksego I.

Popełniamy wielki błąd, lekceważąc nie odezwę, lecz deklarację Rządu Tymczasowego Lvowa, z wiosny roku 1917, o niepodległości Polski. Inaczej niż odezwa Mikołaja Mikołajewicza, niż obwieszczenie dwóch cesarzy z 5 listopada 1916, deklaracja ta ma znaczenie aktu międzynarodowego, zaakceptowana formalnie przez rządy Francji, Anglii, Włoch, Stanów a uzupełniona utworzeniem komisji likwidacyjnej spraw polsko-rosyjskich pod przewodnictwem Aleksandra Lednickiego z rangą i tytułem ministra (którego nie używał). W tym czasie, pamiętam, obiegała w Poznaniu potajemnie lista tworzącego się rządu polskiego z premierem Lednickim a ministrem zagranicznym Dmowskim, przyjmowana z radością. Nie powiem, czy miało to realne podstawy, czy było pobożnym życzeniem. Zastrzeżenie o wspólnej podczas toczącej się wojny walce Polski i Rosji przeciw Niemcom rozumiało się samo przez się, a wywołała je namiętna agitacja aktywistów w okupowanej przez Niemców Warszawie.

Deklaracja nie określiła granic i tutaj spór może zachodzić, nie co do samej niepodległości. Teoretycznie, także sowiecka Rosja uznaje Polskę za odrębne państwo. Co do przyszłości, przypominam, że Anglia i Francja przez wieki całe toczyły wojny, dopoki ich nie złączyło, ledwie pół wieku temu, niemieckie niebezpieczeństwo.

Przekonany jestem, że Rosja zrzuci z siebie bezbożnictwo — komunistyczny reżym nie jest wieczny — i nawróci się do jedności Kościoła. Dałem sledovatelowi na Łubiance taki przykład: Kiedy za Dioklecjana spadło na chrześcijaństwo najcięższe prześladowanie i koniec jego wydawał się bliski, śmiano by się gdyby kto przepowiedział wówczas, że za pół wieku będzie ono panującą w Imperium religią. — Nie sądzę jednak, by nawrócenie Rosji nastąpiło szybko lub łatwo. Na to trzeba zbyt wiele przekreślić z tysiącletniej przeszłości, zbyt wiele zapomnieć, zbyt wiele się nauczyć.

Poglądy swoje na sprawy polsko-rosyjskie wyłożyłem w esseju „Węzeł Polski i Rosji". Niestety, nie mam nadziei, aby się udało go ogłosić, spocznie pośród moich pism pośmiertnych.

X. Kamil Kantak

ZBLIŻENIE INTELEKTUALNE FRANCUSKO-NIEMIECKIE. W „Figaro Littéraire" Jean Schlumberger wyraża zadowolenie, że mimo nowego napięcia w stosunkach francusko-niemieckich (sprawa zbrojenia Niemiec, sprawa Saary), praca licznych instytucji, które po obu stronach granicy pracują od szeregu lat nad wzajemnym zbliżeniem kulturalnym, trwa nadal. Wielką rolę odgrywają tu „wymiany" studentów i robotników oraz działalność „instytutów" francusko-niemieckich i niemiecko-francuskich.

Instytut w Ludwigsburgu koło Stuttgartu wydał świeżo imponujący tom, obrazujący jego działalność.

Przeprowadzona ostatnio statystyka wykazała, że od chwili końca wojny w Niemczech ukazało się około 500 książek, dotyczących Francji, a we Francji aż 1200 książek dotyczących Niemiec, a więc z górą dwa razy tyle.

Ż Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE. 12, Praed Mews, London, W.2. England. Telefony: Redakcja: i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY a) **w krajach bloku szterlingowego**: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego**: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach**: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. C E N Y O G Ł O S Z E Ń: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0. w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. P R Z E D S T A W I C I E L S T W A i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Serrano 2076, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty**, 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**. 65 Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide. S. A. BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kułakowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — **Z. Kietlińska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana oraz **Rev W. Słapa**, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella" Librairie**, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **B. Galas**, Fagelstraat 15A. Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118, Western Ave., Montreal 6, **International Book Service**, 57, Queen Str. W. Toronto i **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man. Prenumerata kwartalna $ 2.00. NIEMCY: Przedstawiciele: **S. Mikiciuk**, Gablonzerstrasse 7/I, (13 b) München 13, o r a z **„Informacja Prasowa"**, Posfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM. NORWEGIA: Przedstawiciel. **B. Łubiński**, Fagerturveien 14, Bestun ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gryf Publications"**, 615, Henry Street, Utica N.Y. oraz **M. Kijowski**, 13171, McDougall, Detroit 12, Mich., oraz **J. Stojanowska**, 424, Ave „E", Bayonne, N. Jersey oraz **„Pomoc" — Eksport Import**, 761, Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna 5.00 frs. SZWECJA. Przedstawiciel: **Mgr B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme Z. Bulhak-Jelska**, via Salaria 300 C, Roma.

W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

d by: Veritas Foundation Press. 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PADdington 9734